



Zeszyty TŁUMACKIE



III i IV KWARTAŁ 2003

ISSN: 1426-4129

Nr 3 i 4 (31-32)

Pismo Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
Ogólnopolskiego Oddziału Tłumaczan - Wrocław



Zimowy park w Tłumaczu (okres przedwojenny)

*Wesołych, pogodnych, zdrowych i spokojnych
Świąt Bożego Narodzenia oraz łask Bożej
Dziecinny, szczęścia i wszelkiej pomyślności w
Nowym 2004 Roku.*

życzą

*Zarząd Ogólnopolskiego Oddziału Tłumaczan
i Redakcja Zeszytów Tłumackich*

*Z ubraniem choinki i siankiem na stole
z pierwszą gwiazdką na niebie
i śniegiem pod butami...
co skrzypi gdy pasterkę koledą witamy
w betlejemskiej stajni szukamy nadziei...*

*Kropki dobra dla innych, co powróci falą,
promyka nadziei, co uwierzy w jutro
i ziarenka wiary, że nie jest za późno...*

Tłumaczenie z różnych stron świata piszą dla nas
bożonarodzeniowe wiersze:

Z Nysy

Nusiek Johnson

*W cichą Noc, aż od Tłumacza
Błogosławieństw płyną słowa,
Od Dzieciątka, co roztacza
Swą opiekę wciąż od nowa
nad Tłumaczanami...*

Wigilia w Jafo

Kornelia Szankowska z Izraela

*W imię Ojca i Ducha i Syna
Święta kolacja się zaczyna
Polska Wigilia w Izraelu
Jest tu udziałem wielu
Wszyscy jak ptaki się zlecieli
Każdy się z każdym opłatkiem podzieli,
To święta polska Wigilija
Niech nikt nikogo nie pomija
Wszyscyśmy braćmi i siostrami
Wiemy co było
A co przed nami ?
Na dzisiaj wieczór nastrojowy
Ale pogodny, nieminorowy
Nie ma mowy o smutku
Żalu czy zadumie
Kolędy każdy śpiewać umie
Więc wspólnie zaraz zaczynamy
Tu Bóg się narodził, wśród nocnej ciszy
My go witajmy
On nas usłyszy !*



Kochani Tłumaczenie, Szanowni Czytelnicy !

Mija rok... kolejny już 8 rok wydawania naszych
Zeszytów Tłumackich. Wszyscy zapewne zdają sobie
sprawę, że nie jesteśmy profesjonalistami, nie mamy przy-
gotowania dziennikarskiego.

Przez ten okres zdarzyło się więc wiele tzw. wpa-
dek i błędów, za co bardzo przepraszamy, a zarazem je-
steśmy wdzięczni, że ominęły nas słowa waszej krytyki.

Przeciwnie były nawet pozytywne recenzje ze śro-
dowisk kresowych, a rozsyłane egzemplarze ZT do bi-
bliotek uniwersyteckich, są tam uważane za materiały
źródłowe.

To dodaje bodźców do dalszej pracy, chociaż co
raz nam trudniej bo łatka lecą i są problemy z aktualnymi
materiałami. Wiemy jednak, że nasz kwartalnik nie tylko
służy integracji naszego środowiska, ale jest pożyteczny
zarówno dla odchodzącego pokolenia jak też dla naszych
dzieci, wnuków, prawnuków zainteresowanych swoimi
korzeniami.

Mamy nadzieję, że z Waszą i Bożą pomocą zdoła-
my jeszcze ten ostatni rok „pociągnąć” wydawanie Ze-
szytów Tłumackich

z poważaniem
Wasza Redaktor

Tradycje Bożonarodzeniowe

Święta Bożego Narodzenia zajmują w polskiej tradycji miejsce szczególne. Choć w chrześcijaństwie ustępuje rangą Wielkanocy, dla wielu ludzi właśnie grudniowe święto jest najważniejsze, a przede wszystkim najpiękniejsze.

Wigilia

Wigilijną tradycję, spotykamy jedynie w Polsce. Jest to dzielenie się opłatkiem przed rozpoczęciem uroczystej wieczerzy. Zasiadamy do niej gdy na niebie zabłyśnie pierwsza gwiazdka. Naprzód następują życzenia przy łamaniu się opłatkiem. Stół wigilijny jest nakryty śnieżną białym obrusem, ozdobiany gałązkami jedliny i siankiem. W lichtarzach palą się świece. Tradycyjnie podaje się 12 postnych wigilijnych potraw. Pozostawiamy też tradycyjnie dodatkowe nakrycie dla niespodziewanego gościa... Po wieczerzy kolędujemy i rozpakowujemy prezenty ukryte pod choinką.

Opłatek

Zwyczaj łamania się opłatkiem, czyli białym, bardzo cienkim, niekwaszonym (inaczej praśnym) chlebem, symbolizuje gotowość do dzielenia się chlebem z innymi, do wybaczenia wszelkich urazów, do pojednania.

Opłatki znane były Kościołowi od wielu wieków. Błogosławiono je podczas nabożeństw i zanoszono tym, którzy nie mogli przybyć na wspólną modlitwę. Opłatki wypiekane w kościelnych piekarniach rozprzodaczały w XVI wiekowej Polsce przekupki. Smarowane miodem uchodziły za wielki przysmak dzieci. Podawano je także jako zakąskę do wina. Natomiast polska tradycja dzielenia się opłatkiem w dniu Wigilii pochodzi z XV stulecia, kiedy to prawo ich wypiekania otrzymały wszystkie parafie. Tradycja ta upowszechniła się jednak później w XVIII w i znana była szlachcie, a w XIX w w całym stanie.

Uważano również, że opłatek pochodzi od zwyczaju przysyłania przez zesłańców z Syberu dla swoich rodzin w kraju, rozgniecionego, wysuszonego na opłatek chleba.

Nazwa opłatek pochodzi z łacińskiego *oblatum* czyli dar ofiarny.

Choinka

Tradycja wiecznej zieleni. Trudno wyobrazić sobie święta Bożego Narodzenia bez choinki. Zwyczaj jej zdobienia i stawiania na honorowym miejscu dotarł do Polski dopiero w XIX stuleciu, ale już znacznie wcześniej przystrajano u nas wnętrza domów zielonymi gałązkami, które - jak wierzono - zapewniały szczęście, zdrowie, płodność, witalność.

Pasterka

Uroczysta msza święta w wigilię o północy jest uznawana za jedną z najważniejszych tradycji bożonarodzeniowych. Nazwa nabożeństwa przypominać ma pasterzy, którzy najszybciej przyszli pokłonić się narodzonemu Bogu. Pierwszy formularz mszalny na Św. Bożego Narodzenia pochodzi z V wieku i już w nim wymieniana jest pasterka. Msza odprawiana była, tak jak obecna o

godzinie. 0.00.

Później zwyczaj odprawiania pasterki rozszerzył się na wszystkie kościoły we wszystkich krajach chrześcijańskich. Pasterka po dziś dzień otwiera liturgiczne obchody świąt Bożego Narodzenia. Na pasterkę w Polsce w dalszym ciągu przybywają tłumy wiernych. Tradycyjnie rozpoczyna ją kolęda „Wśród nocnej ciszy”

Sylwester

Różnie nazywa się ta noc. Dla nas jest to po prostu sylwester, podobnie jest zresztą w Niemczech (Silvester). Szkoci wołają swój Hogmanay, zaś w Holandii jest to trudne do wymówienia Oudejaarsavond.

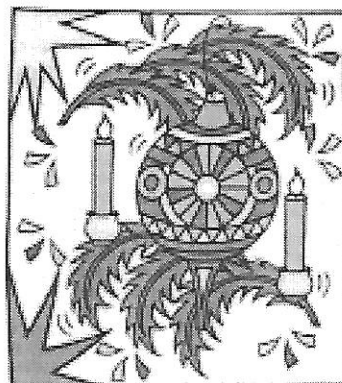
W USA czy Anglii sprawa jest prosta - New Year Eve, czyli w dosłownym tłumaczeniu „wigilia Nowego Roku”. Chodzi zawsze o to samo - szaloną zabawę, tańce i życzenia o północy.

Sylwester kojarzy nam się jednoznacznie - zabawa, fajerwerki, szampan... O człowieku, od którego imienia pochodzi nazwa święta, na ogół nie wiemy nic...

Papież Sylwester I

Św. Sylwester to za życia papież Sylwester I urodzony w połowie III wieku w Rzymie, zmarły w Wiecznym Mieście 31 grudnia 335 roku. To on ochrzcił, a zarazem uzdrowił z trądu cesarza Konstantyna. Fakt ten stanowił przełom w historii Kościoła, oznaczał bowiem koniec prześladowań chrześcijan. Według opowieści uzdrowiony Konstantyn podarował papieżowi Rzym i zachodnią część swego imperium, pozwolił też, by zwierzchnik Kościoła nosił insygnia cesarskie. Czy jest to do końca prawda, można mieć wątpliwości, jednak bezspornie jest, że cesarz był chrześcijanom życzliwy i kazał wybudować nad grobem św. Piotra bazylikę.

Inna bardziej fantastyczna legenda na temat św. Sylwestra nawiązuje do Heleny, matki cesarza Konstantyna (później także świętej), która po ochrzczeniu syna postanowiła go z kolei nawrócić na judaizm. Podczas dysputy, jaka wywiązała się między papieżem a dwunastoma rabinami, chrześcijański przywódca zdołał przekonać do swojej wiary jedenastu z nich. Dwunasty był bardziej oporny. Kiedy jednak Sylwester wskrzesił zabitego przez rabina byka, wszelkie wątpliwości zniknęły - zarówno cesarzowa, jak i wszystkich dwunastu rabinów natychmiast przyjęli chrzest. To jeszcze nie koniec - są też przekazy o nawróceniu pogańskich kapłanów, po tym jak papież Sylwester zamknął paszczę groźnemu smokowi.



Obecnie tradycja hucznej zabawy, pożegnania starego roku i powitania nowego rozprzestrzeniła się na cały świat.

Opracowała
Danuta
Tabińska-Juhasz

POTRAWY WIGILIJNE

Są to galicyjskie przepisy, znane zapewne starszemu pokoleniu naszych Czytelników. Młodszych natomiast zainteresuje, czym były zastawione wigilijne stoły na Kresach. Poniższe przepisy podajemy za „Gazetą Lwowską” redakcji Aliny Filipkowskiej. Życzymy smacznego

Redakcja

BARSZCZ WIGILIJNY Z USZKAMI

Sporządzić smak: do 1 1/4 l wody wrzucić pokrajane jarzyny: 3 średniej wielkości marchewki, 2 pietruszki, 1/4 selera, 1 pieczoną cebulę, 5 dkg suszonych grzybów, 2 listki bobkowe, 4 ziarenka ziela angielskiego, 2-3 ziarenka pieprzu. Osobno pokrajać w talarki 4 buraki, zalać w osobnym garnuszku 1/2 l wody z dodatkiem 1 łyżki octu i gotować co najmniej 1/2 godziny. Gdy smak i barszcz z buraków jest już ugotowany, wszystko precedzić, zlać razem, rozetrzeć ząbek czosnku z solą, dodać do wywaru, połączyć z kwasem buraczanym, doprawić cukrem. Grzyby z wywaru użyć do uszek.

Kwas buraczany: 2-3 duże buraki obrać, pokroić w talarki, ułożyć w słoju lub glinianym garnku, zalać ok. 1 l przegotowanej, letniej wody. Na wierzchu położyć kawałek razowego chleba (najlepiej piętke), obwiązać ściereczką i pozostawić w ciepłym pomieszczeniu na 5 - 8 dni. Gdy barszcz sfermentuje, zlać do butelki lub słoika, dobrze zamknąć, przechowywać w chłodnym miejscu. Uszka z grzybami ciasto: 1 szklanka mąki, 1 jajo, trochę wody, sól; nadzienie: 10 dkg suszonych grzybów, 1 cebula, 1 jajo, sól, pieprz.

Jeżeli nie używamy grzybów z barszczu lub jest ich za mało, to grzyby starannie opłukać, ugotować, odcedzić, przepuścić przez maszynkę (wywar można zużyć do zupy lub sosu). Cebulę pokroić w drobną kostkę i podsmażyć na tłuszczu na złoty kolor, dodać grzyby, ostudzić. Następnie wbić do grzybów jajko i dobrze wymieszać, doprawić solą i pieprzem. W dużym garnku nastawić wodę do gotowania uszek. Mąkę przesiać, wymieszać z jajkiem, solą i wodą, wyrobić niezbyt twarde ciasto. Rozwałkować, pokroić w kwadraty (ok. 4 x 4 cm), nakładać nadzienie. Zlepić trójkąty, a następnie dwa rogi ze sobą. Gotować we wrzącej, osolonej wodzie. Po wyjęciu układać na półmisku i polewać masłem, aby się nie posklejały.

KARP W GALARECIE

Ok. 1 kg karpia

Wywar: 1 1/2 l wody, odpadki rybne, 20 dkg włoszczyzny, 2 listki laurowe, 5 ziaren ziela angielskiego.

Galareta: 3/4 wywaru z ryby, 1 łyżeczka żelatyny, 1 łyżka octu, 2 białka.

Karpia sprawić, pokroić na dzwonka. Z głowy ryby, włoszczyzny, przypraw i wody ugotować na małym ogniu wywar, pod koniec osolić. Do ciepłego, precedzonego wywaru włożyć porcje ryby i gotować około 15 - 20 minut. Pozostawić rybę w wywarze do ostygnięcia. Wyjąć, wybrać większe ości, ułożyć na długim półmisku. Sklarować galaretę i krzepnącą zalewać przybrane porcje ryby. Do przybrania użyć talarków jaj na twardo, ogórków, marchwi, pomidorów, zielonego groszku itp. Rybę zastudzić.

Podawać z zimnym ostrym sosem.

KARP W GALARECIE PO ŻYDOWSKU

Ok. 1 kg karpia, 5 dkg jasnych rodzynek, 1/8 l jasnego piwa, 3 - 4 cebule, 1 łyżka masła, 5 - 6 goździków, 1/2 łyżeczki tartej skórki cytrynowej, 2 łyżki octu, sól, pieprz

Galareta: wywar z odpadów rybnych i włoszczyzny, 1 łyżka octu, 2 białka

Karpia sprawić, odciąć głowę, płetwy, ogon i zachować do wywaru. Opłukać, pokroić na dzwonka szerokości ok. 2-3 cm, osolić, oprószyć pieprzem, posypać tłuczonymi goździkami, skropić octem. Masło rozgrzać, włożyć obraną, pokrajaną w kostkę cebulę, zasmażyć nie rumieniąc, wlać piwo, ogrzać, włożyć rybę, razem dusić pod przykryciem na bardzo małym ogniu ok. 25 minut. Gdy ryba gotowa - wyjąć. Sos odparować, włożyć opłukane rodzyнки i startą skórkę cytrynową. Rybę ułożyć na półmisku, oblać sosem, zalać stygnącą, sklarowaną galaretą.

Po zastudzeniu podawać z białym pieczywem.

WIGILIJNE PIEROGI Z KAPUSTĄ I GRZYBAMI

Nadzienie: ok. 80 dkg kiszonej kapusty, 10 dkg suszonych grzybów, 2 cebule, 2 łyżki oleju, sól, pieprz;

Do polania: 1 duża cebula, 3-4 łyżki oleju

Grzyby starannie opłukać, namoczyć przez noc, ugotować w wodzie, w której się moczyły, odcedzić, przepuścić przez maszynkę (wywar można zużyć do zupy lub sosu). Grzyby, ostudzić. Następnie wbić do grzybów jajko i dobrze wymieszać, Kapustę gotować w małej ilości wody, do zagotowania trzymać pod przykryciem. Gdy zagotuje się odkryć na chwilę, po czym przykryć i dogotować. Cebulę obrać, pokroić w drobną kostkę, usmażyć na jasnozłoty kolor.

Ugotowaną kapustę mocno odcisnąć, przepuścić przez maszynkę lub drobno posiekać, dodać podsmażoną cebulę z tłuszczem, oraz grzyby, doprawić solą i pieprzem, wymieszać.

Przygotować ciasto jak na pierogi.

Cebulę do polania pokroić w kostkę, zeszklić na oleju.

Ugotowane pierogi ułożyć na ogrzonym półmisku, polać cebulką.

KOMPOT WIGILIJNY Z SUSZU

Proporcje na ok. 10 porcji - 25 dkg suszonych owoców (śliwki, jabłka, gruszki, morele, rodzyńki), kilka goździków, kawałek cynamonu, 1/2 szklanki cukru, 2 1/2 l wody

Wodę zagotować z goździkami i cynamonem, wsypać cukier. Do wrzątku wrzucić owoce, gotować 2 - 3 minuty. Odstawić pod przykryciem, żeby owoce napęczniały. Nałożyć owoce do kompotierek, zalać syropem. Podawać ciepły.

STRUCLA MAKOWO - CZEKOLADOWA

Ciasto: 35 dkg mąki, 12 dkg masła (ewentualnie margaryny), 3 żółtka, 10 dkg cukru, 5 dkg drożdży, skórka otarta z 1 cytryny, 1/2 szklanki ciepłego mleka

Nadzienie: 30 dkg maku, 15 dkg cukru pudru, 5 dkg pokrojonej smażonej skórki pomarańczowej, 1 jajko, 3 białka

Ciasto: drożdże rozprowadzić ciepłym mlekiem, dodać 1 łyżeczkę mąki i 1 łyżeczkę cukru. Odstawić do wyrośnięcia, aż podwoi swoją objętość. Żółtka ubić z cukrem na puszystą masę. Dodać do mąki zaczyn

drożdżowy, ubite żółtka i otartą skórkę z cytryny. Wyrobić ciasto, dolewając w miarę potrzeby trochę ciepłego mleka. Ciasto powinno być nieco gęściejsze niż na zwykły placek drożdżowy. Gdy ciasto zacznie odstawać od ręki, wlać ciepły tłuszcz i jeszcze chwilę wyrabiać. Włożyć do miski, lekko posypać mąką i przykryć ściereczką. Odstawić w ciepłe miejsce do wyrośnięcia.

Nadzienie: Mak opłukać, sparzyć i gotować w wodzie lub mleku, aż będzie miękki. Odcedzić zemleć 2 razy. Zetrzeć czekoladę i połączyć z makiem, żółtkiem cukrem, posiekaną skórką pomarańczową i pianą ubitą z 4 białek. Dokładnie wymieszać. Masę nałożyć na cienko rozwałkowany prostokąt ciasta, posmarowany białkiem (po upieczeniu zapobiegnie to oddzieleniu się nadzienia od ciasta). Ciasto zwinąć ciasno w rulon, końce mocno zlepować i podwinąć pod spód. Struclę ułożyć w wąskiej blaszce wysmarowanej tłuszczem i pozostawić do wyrośnięcia. Przed pieczeniem wierzch posmarować białkiem.

Piec około 45 minut w temperaturze 180 stopni C.

Jeśli makowce mają być długie i wąskie, ciasto i mak należy podzielić na dwie części i zwinąć dwie struclę. Każdą struclę zawinąć w natłuszczoną folię, zostawiając na końcach około 1 cm pustej folii. Struclki rosną wtedy wzdłuż i mają ładny kształt. Upieczone i ochłodzone makowce można polukrować i ozdobić bakaliami.

KAPUSTA Z GRZYBAMI

- 1 kg kapusty kwaszonej
- 15 dag grzybów suszonych (nie muszą być prawdziwki, ważne aby były aromatyczne)
- 1/2 kg renet
- kilka suszonych śliwek
- 2 cebule
- 3 łyżki oleju
- 2 łyżki cukru
- 1 łyżka mąki
- 1/2 łyżeczki kminku
- 2 liście laurowe
- 2 ziarenka ziela angielskiego

Grzyby i śliwki myjemy i zalewamy wodą na noc. Następnego dnia do dużego szerokiego garnka wkładamy kapustę, wypestkowane, pokrojone w ćwiartki śliwki, obrane, pokrojone jabłka i cebule, 2 łyżki cukru. Wsypujemy kminek, ziele angielskie i kilka ziarenek pieprzu, wrzucamy liście laurowe. Wszystko to mieszamy i zalewamy wodą, aby przykrywała całość.

Po zagotowaniu dusimy na małym ogniu. Jednocześnie w małym rondelku gotujemy w 2 szklankach wody namoczone grzyby. Gdy grzyby już ugotują się na miękko, kroimy je w cienkie paski i razem z sosem, w którym się gotowały, wlewamy do kapusty. Wszystko razem dusimy 20 minut.

Dobrze jest taką kapustę przyrządzić trzy dni przed Wigilią i codziennie ją przez pół godziny podduszać.

W dzień Wigilii zagotowujemy ją na małym ogniu, a na patelni z mąki i oleju robimy rumianą zasmażkę. Rozprowadzamy w niej 3 - 4 łyżki kapusty, wrzucamy do garnka i trzymamy na małym ogniu, mieszając jeszcze 5 minut.

ZUPA GRZYBOWA

Taką zupę gotowała moja Babcia, moja Mama, ja, i taką zupę ugotuje w tym roku moja córka, po raz pierw-

szy samodzielnie spędzając Święta poza rodzinnym domem.

- 10 dag suszonych grzybów (najlepsze borowiki)
- 25 dag włoszczyzny (bez kapusty)
- 10 ziaren pieprzu
- cebula
- 20 dag śmietany
- sól

Grzyby starannie opłukujemy. Zalewamy zimną wodą na kilka godzin (można na noc). Grzyby gotujemy w 2 litrach wody z cebulą i pieprzem prawie do miękkości. Potem dodajemy włoszczyznę i gotujemy pół godziny. Przelewamy zupę przez sito. Solimy. Można zaostrzyć smak sokiem cytryny.

Do śmietany, mieszając, wlewamy kilka łyżek gorącej zupy, a następnie, również mieszając (energicznie), śmietanę do garnka z zupą. Kapelusze grzybów kroimy w paseczki, podajemy oddzielnie. Zupa grzybowa jest najlepszą ze zrobionymi w domu łazankami. Ale może być (ostatecznie) kupiony makaron.

KUTIA

- 25 dag łuskanej pszenicy
- 35 dag maku
- 20 dag cukru
- 2 łyżki miodu
- 10 dag rodzynek
- 5 dag migdałów
- 5 dag orzechów laskowych
- 5 dag daktyli i fig
- 1 mały pojemnik jogurtu naturalnego (śmietanki)

Pszenicę (specjalnie łuskaną na kutię dostaniemy na bazarze) zalewamy wodą i gotujemy, aż będzie miękka (ok. godziny), ale nie rozgotowana. Należy uważać, żeby woda się nie wygotowała. Po ugotowaniu odcedzamy na sicie i odstawiamy do wystygnięcia. Mak zalewamy wrzącą wodą, chwilę gotujemy, odcedzamy na sitku ewentualnie wyłożonym gazą i przepuszczamy razem z cukrem przez maszynkę od mięsa z gęstym sitkiem. Dodajemy miód, sparzone rodzyнки, orzechy laskowe, sparzone, obrane, drobno pokrojone migdały, pokrojone daktyle i figi oraz ugotowaną pszenicę (nie należy dawać jej zbyt dużo). Całość rozrabiamy jogurtem. Gotową kutię wkładamy do salaterki i przed podaniem wstawiamy na kilka godzin do lodówki.

SALATKA ZIEMNIACZANA ZE ŚLEDZIEM

- 100 g gotowanych ziemniaków
- 50 g gotowanej marchewki
- 50 g ogórków konserwowych
- 100 g śledzi
- 1 gotowane jajko
- majonez
- koperek
- szczypiorek
- pieprz
- sok z cytryny

Wszystko pokroić w kostkę (wielkość według uznania), wymieszać, udekorować.

MAJONEZ NAJŁEJSZY I NAJSZYBSZY

To nieprawdopodobne, jak lekki może być majonez. Jest jeden warunek: trzeba mieć mikser z częścią, która służy do rozdrabniania warzyw - nazwijmy ją, dla

uproszczenia, krajarką. Nam będzie służyła do ubicia majonezu. Potrzebne też jest naczynie trochę wyższe od krajarki, o przekroju niewiele większym od kółka, w którym osadzony jest nożyk do rozdrabniania. Dobrze nadają się do tego niektóre stoiki po konfiturach.

- 2 duże jaja (bardzo świeże),
- 2 szklanki oleju słonecznikowego
- sok z 2 cytryn
- musztarda z gorczycą (polska)
- 4 łyżki zimnego mleka.

Do naczynia wbijamy całe jajka, dolewamy olej, sok z cytryn, łyżkę musztardy i sól (wszystkie składniki powinny mieć temperaturę pokojową). Wkładamy krajarkę, tak by dotykała dna naczynia. Włączamy mikser na najszybszy bieg i nie odrywamy krajarki od dna przez 3 min. Gdy zobaczymy, że majonez zaczyna się formować tzn. idzie ku górze, delikatnie pod nosimy krajarkę do połowy naczynia i z powrotem równie delikatnie opuszczamy do dna - i tak bez przerwy, aż całe naczynie wypełni się majonezem. Wówczas dolewamy powoli zimne mleko i znowu w podobny sposób poruszamy krajarkę. Majonez jest gotowy, gdy mleko zniknie. Jest tak gęsty i puszysty, że można go kroić nożem.

TORT ORZECHOWY

- 8 dkg cukru pudru
- 10 jaj
- 38 dag orzechów włoskich mielonych w maszynce do mielenia orzechów
- 1 łyżeczka zmielonej czarnej kawy
- 2 torebki cukru waniliowego
- 1 łyżka bułki tartej + trochę do wysypania formy
- 2 łyżki kakao

Cukier puder utrzeć z 8 żółtkami i 2 całymi jajkami.

Do powstałej masy dodać: zmielone orzechy włoskie, czarną kawę (zmielone), cukier waniliowy, 1 łyżkę bułki tartej, kakao. Po dokładnym wymieszaniu dodać pianę z 8 białek.

Ciasto wlać do średniej tortownicy wysypanej bułką tartą i piec w niezbyt gorącym piecu.

Masa do przekładania tortu:

- 3 żółtka
- 15 dag cukru pudru
- 3 łyżeczki kawy mielonej .
- 30 dag masła
- kieliszek spirytusu 90 proc.

Żółtka utrzeć z cukrem pudrem. Osobno zaparzyć bardzo mocną kawę (trochę wody i 3 łyżeczki kawy mielonej) i po wystudzeniu powoli wlewać do żółtek, ciągle mieszając. Osobno utrzeć masło i powoli dodawać do tego masę żółtkowo-kawową. Ucierać, aż powstanie gładka masa. Na końcu dodać kieliszek spirytusu.

Ostudzony tort przekładać masą kawową i udekorować połówkami orzechów włoskich.

MAKOWIEC

Nie moczmy maku! Nie wyciskamy go! Suchy mak mielemy w młynku do mielenia kawy!

- 1 szklanka maku
- niepełna szklanka cukru
- 1/2 kostki masła (margaryny)
- 3 jajka
- 3 łyżki kaszy manny

- 3/4 kg winnych jabłek
- 2 łyżeczki proszku do pieczenia
- zapach migdałowy

Mak mielemy w młynku do kawy (partiami). W misce miksujemy masło z żółtkami. Dodajemy cukier po łyżce, dalej ucierając. Do puszystej masy jajecznej dodajemy zmielony mak, starte na tarce jarzynowej obrane jabłka (duże oczka), kaszę, kilka kropli zapachu migdałowego, proszek do pieczenia. Na koniec sztywno ubitą pianę z białek (z łyżką cukru). Tortownicę (średnią) smarujemy tłuszczem, posypujemy bułeczką, wlewamy ciasto. Pieczemy w temperaturze 175 st. C. Gotowe ciasto możemy poleać polewą czekoladową i posypać siekanymi migdałami. Można też zrobić z ciasta tort, przekładając go masą (wg gustu).

PIERNIK TRADYCYJNY

- 1 kg mąki
- 1,5-2 szklanki cukru
- 5 jaj, 1 szklanka śmietany
- 1 szklanka oleju lub oliwy
- ok. pół litra miodu
- imbir, cynamon, goździki, gałka muszkatołowa
- 2 łyżeczki sody (albo proszku do pieczenia)
- łyżka rumu
- rozdrobnione migdały i orzechy, rodzynki, kandyzowana skórka pomarańczowa

Jajka ucieramy z cukrem dodając kolejno mąkę i inne składniki. Ciasto wlewamy do posmarowanej i oprószonej bułką blachy. Pieczemy w temperaturze 180 stopni Celsjusza.

CIASTO MAKOWO-SEROWE

ciasto makowe:

- 6 jajek
- 30 dag maku
- 1,5 szklanki cukru
- 4 łyżki mąki
- 1 łyżeczka proszku do pieczenia
- olejek migdałowy

ciasto serowe:

- 80 dag tłustego sera
- 1 szklanka cukru
- 15 dag masła
- 5 jajek
- 1 łyżka mąki ziemniaczanej
- 5 dag rodzynek ,
- 2 łyżki smażonej skórki pomarańczowej lub skórka otarta z cytryny
- 1 łyżka masła do wysmarowania formy
- 1 gotowa polewa czekoladowa

Mak przygotowujemy jak w przepisie na kutię, mieszając go z połową porcji cukru.

Żółtka ucieramy z pozostałym cukrem, dodajemy mak, mąkę z proszkiem i na końcu ubitą na sztywno pianę. Ciasto makowe wylewamy na blaszkę o wymiarach ok. 25 x 40 cm, wyłożoną specjalnym papierem do pieczenia, a następnie przyrządzamy masę serową. Mielemy ser, masło ucieramy z cukrem, dodając kolejno żółtka. Do masy żółtkowo-maślanej dodajemy ser, mąkę, umyte i osączone rodzynki, skórę pomarańczową. Łączymy ją z ubitą na sztywno pianą z białek. Wszystkie składniki dokładnie mieszamy i wykładamy, możliwie równomiernie; na ciasto makowe. Pieczemy około godziny w piekarniku nagrzanym do temp. 190 C. Schłodzone ciasto fantazyjnie polewamy gotową polewą.

Tłumacz w okresie I Wojny Światowej

Powrót (c.d.)

Franciszek Petrus

Od Redakcji -

Kolejny odcinek autobiograficznej powieści Tłumaczani dotyczy jego urlopu z wojska austriackiego i odwiedzin rodzinnego miasta Tłumacza w czasie trwania I Wojny Światowej.

Na froncie wschodnim nastąpiło nagłe ożywienie. W dniu 30 czerwca 1917r. rozgorzały zaciekle walki na odcinku frontu między Brzeżanami i Zborowem. Rząd Tymczasowy realizował obietnicę daną swym zachodnim aliantom, że będzie walczyć aż do zwycięskiego końca.

Komunikaty wojenne donosiły znowu o masowych atakach piechoty rosyjskiej, która mimo olbrzymich strat parła nieraz kilkunastoma falami na przód.

Dowództwo rosyjskie rzuciło do walki pod Zborowem świeżo utworzone formacje czeskie.

Zaciekle walki wywiązały się również na odcinku pod Koniuchami, gdzie natarcie rosyjskie poczyniło nawet dość znaczne postępy. Rozgorzały również zaciekle walki na froncie między Dniestrem i Karpatami, a szczególnie na odcinku pod Kałuszem i Stanisławowem.

Wszystkie te jednak wysiłki, nie wydały na żadnym odcinku frontu, oczekiwanych rezultatów. Ofensywa Rządu Tymczasowego załamała się i w połowie lipca wygasła niemal zupełnie, na co nie bez wpływu pozostały też trwające od szeregu dni ulewne deszcze.

Po kilkudniowej zaledwie przerwie w walkach, już w dniu 19 lipca rozpoczęła się kontrofensywa austriacko-niemiecka silnym uderzeniem od Brzeżan. Zaskoczyła ona całkowicie Rosjan - tak, że ponosili jedną klęskę po drugiej, cofając się w kierunku Tarnopola, który Niemcy zajęli w dniu 25 lipca.

Zajęcie Tarnopola zagroziło zamknięciem, walczącej między Dniestrem a Karpatami ósmej armii rosyjskiej. Dlatego rozpoczął się szybki odwrót Rosjan z pod Stanisławowa.

Walczył tu po stronie rosyjskiej 1 pułk ułanów polskich, który zapisał się chlubnie swą kilkakrotną w ciągu jednego dnia, szarżą na piechotę niemiecką i austriacką pod Krechowcami w czasie odwrotu Rosjan, ocalając również Stanisławów przed spalaniem, przed zdemoralizowanych maruderów z armii generała Kormitowa.

Armie rosyjskie wycofywały się szybko z odcinka południowego w kierunku Zbrucza. Do zaciętych walk doszło jeszcze pod Czortkowem i Husiatynem, gdzie walczyła również 1 dywizja strzelców polskich.

Czytając codzienne komunikaty sztabu generalnego - Janek Kowal z biciem serca odczytywał dobrze mu znane miasta na wschód i południowy-wschód od Stanisławowa, aż wreszcie jednego dnia wyczytał wiadomość o opuszczeniu przez Rosjan Tłumacza.

Na swój polecony list do Zosi Janek otrzymał po

tygodniu telegraficzną wiadomość, że są obie z matką zdrowe, że rodzice jego są w Dorohowie obok Wojniłowa i że szczegóły znajdzie w wysłanym liście.

Z niecierpliwością czekał na ten list, który nadszedł trzeciego dnia po telegramie.

Z listu dowiedział się, że rodzice jego zostali ewakuowani latem zeszłego roku przez Niemców, że znajdują się jeszcze w Dorohowie ale, że już zapewne są w drodze do domu, gdyż ojciec był przed kilkoma dniami w Tłumaczu i że wrócił właśnie po rodzinę. Pomimo silnych walk, jakie tu się toczyły w zeszłym roku, miasto nie ucierpiało wiele za wyjątkiem kilkunastu budynków gospodarczych we wschodniej części, które piechota niemiecka rozebrała, biorąc materiał do umocnienia okopów.

W liście Zocha opisywała przeżycia swe w czasie walk zeszłorocznych, kiedy to cała niemal dywizja kawalerii rosyjskiej atakowała Niemców od strony Jezierzan i Chocimierza, i kiedy cała droga polna od mostu pod Księżą Górą, aż po Pilawszczyznę była obsadzona przez artylerię niemiecką, która bez ustanku dniem i nocą biła w stronę Jezierzan i Oleszy. Domy drżały wówczas w posadach, a szyby żałośnie i przeciągle dzwoniły w oknie.

Niemcy mimo zacieklej obrony nie potrafili zatrzymać Rosjan, którzy po kilkudniowych walkach weszli do miasta.

Opisywała Zocha następnie tegoroczny odwrót rosyjski i pobyt w mieście ułanów polskich z 1-go pułku, który walczył z Niemcami pod Krechowcami.

W końcu pisała o tej przeogromnej obawie i tęsknocie, jaka trapiła ją cały czas, kiedy z nikąd nie było żadnych wiadomości.

Błagała go i zaklinała, by za wszelką ceną chociaż na kilka dni wpadł do domu, bo chyba przyjdzie jej umrzeć z tęsknoty.

Kowal odczytywał ten list po kilka razy dziennie. Nazwy - jak Księża Góra, Pilawszczyzna - przywiodły mu na pamięć wszystko to co tam w tych miejscach niedawno przeżył. Znowu świat wydał mu się jakimś innym. Czarne myśli, które tak uporczywie prześladowały go uleciały gdzieś daleko.

Napisał długi, serdeczny list. Zapewniał Zochę o swej głębokiej miłości. To właśnie myśli o niej, wspomnienia tamtych błogich, beztrudnych dni, dawały mu siłę do przetrwania tych najcięższych chwil.

Zawiadamiał ją zarazem, że przed zakończeniem szkoły oficerskiej nawet marzyć nie można o jakimkolwiek urlopie. Być może - pisał - że po przybyciu po szkole do pułku będzie można jakiś urlop na odwiedzenie rodziny uzyskać.

W liście swym błagał Zochę o jak najczęstsze pisywanie i zapewniał, że będzie czekał na jej list tak, jak oczekuje się po ciemnej, ponurej nocy, jasnego, słonecznego dnia.

Następnego dnia otrzymał przekazem pieniężnym od siostry już z Tłumacza trochę pieniędzy.

Cieszył się z tego obrotu sprawy i mógł już teraz uzupełniać nieco swoje wyżywienie.

Niebawem posypały się listy z domu i od znajomych.

Naraz zaszło w życiu szkoły oficerskiej coś, czego zapewne nikt nie oczekiwał, o czym niewątpliwie nawet marzyć nie było można. W jednym z rozkazów dziennych zakomunikowano, że wszyscy aspiranci otrzymują urlop tygodniowy pod warunkiem, że każdy przywiezie z domu dokument, stwierdzający podpisanie bądź to przez samego aspiranta, bądź też przez jego rodziców pożyczki wojennej na określoną sumę pieniężną.

Trudno sobie wprost wyobrazić z jakim uczuciem radości przyjęto tę wiadomość. Dokumenty podróży zaczęto wypisywać już w tym samym dniu.

Dawano siedem dni urlopu i dwa dni na podróż.

Boże! - co za niespodziankę sprawię rodzicom i Zosi swoim nieoczekiwanym zjawieniem się w domu! - myślał radośnie Kowal.

Porwał wprost dokument z rąk podoficera kancelaryjnego i jak wicher pognął na dworzec sprawdzić odjazd pociągów.

Pociąg do Krakowa włókł się niesamowicie wolno. Na niektórych stacjach trzeba było czekać nieraz godzinami, by przepuścić transporty wojskowe idące w różnych kierunkach.

Za ostatnie pieniądze kupił kowal w Krakowie bilet na pociąg pośpieszny do Lwowa, dokąd przybył o północy. Miał ponad 3 godziny czasu do pociągu osobowego, odchodzącego do Stanisławowa.

Następnego dnia przed południem, znalazł się w Pałahiczach, skąd - wobec nienaprawienia jeszcze zniszczonego w czasie ostatnich działań wojennych toru - trzeba było iść 7 kilometrów pieszo.

Kowal pędził znaną sobie szosą, jak gdyby miał skrzydła u ramion. Minął duży staw koło Pałahicz, dokąd w upalne letnie dni chodził często z kolegami kąpać się. Ileż to razy przepływali go wzdłuż tam i z powrotem bez wychodzenia na brzeg, a przecież staw miał ponad kilometr długości i w całym gimnazjum wiedziano dokładnie, którzy to koledzy potrafią ten staw przepłynąć. Kowal był dumny z tego, że należał do grona tych, którzy mogli pochwalić się tym wyczynem.

Oto - już niemal na skraju zachodniej części miasta, widzi zburzoną cegielnię, widzi na ścianach niektórych domów ślady pozostałe po kulach rozrywających się szrapneli. Widać, że toczyły się tu większe walki.

Przy drodze dość gęsto widnieją groby pojedynczych żołnierzy, a na niektórych krzyżach osadzone są pikielhauby niemieckich piechurów, a gdzieś tam czapki poległych Rosjan.

Nigdzie na krzyżu nie ma nazwiska zabitego. Widocznie nie było już na to czasu.

Zatrzymał się na chwilę przed szkołą przemysłową. Okna ziały pustką. Ramy z okien były powyrywane. Niektóre sprząty walały się obok na podwórzu.

Uczniowie tej szkoły zapewne tak jak on tułają się gdzieś po dalekich frontach.

Kiedy wszedł na ulicę Pańską, serce zabiło mu gwałtowniej. Tu zaczął kiedyś pierwsze swoje lekcje - tu kiedyś z ojcem doznał tego nie zasłużonego upokorzenia. Coś nim wstrząsnęło na wspomnienie o tym.

Czy wstąpić pierw do Zochy? Zawahał się na moment.

Nie, wpiersz wpadnie do rodziców.

A oto park - gimnazjum - wszystko jakieś postarzałe, jakoby pochylone.

Czemu to serce bije tak gwałtownie, jakby mu chciało z piersi wyskoczyć!

Zdjął plecak i usiadł na chwilę na ławce obok w parku. Nikogo ze znajomych nie spotkał - może i lepiej. Rzucił okiem na gmach Sokoła. Stoi cały i nieuszkodzony.

Ruszył powoli. Oto stoi kościół tak, jak stał przed laty. Tylko drewniane ogrodzenie zniknęło zupełnie. Z jednej z wież zwiesza się duży kawał blachy. Musiał tu trafić pocisk artyleryjski. Może szukano tu obserwatora artyleryjskiego.

Kowal idzie wolno w swą uliczkę. Wszystkie płoty zniknęły. Brak też gdzieś stodoł, stajen i spichlerzy. Domy stoją całe.

Gdzieś kręcą się na podwórzu ludzie. Kowal pozdrawia ich, lecz nie odpowiadają na jego wojskowy ukłon. Widocznie nie poznają go wcale.

Z drzeniem na całym ciele zbliżył się do domu rodziców, widzi unoszący się dym z komina. Musi tam więc ktoś być w domu. Pięknie rozwinięte jesiony rzucają łagodne cienie na studnię, dom i podwórze. Z drzeniem Kowal wchodzi na podwórze. Kuźnia i stajnia stoją całe. Ze stodoły i spichlerza nie pozostał nawet ślad. Miejsce dokoła domu wydaje się dziwnie duże i puste.

Pierwsze żywe istoty jakie spotyka na podwórzu, to dwa duże białe z czarnymi łatami na grzbiecie koty, które tak bardzo lubił, a które widać cało i zdrowo przeżyły tę zawieruchę wojenną.

Kowal wyjrzał za dom tam, gdzie stała stodoła.

W tej chwili wypadł z budy, uwiązany na łańcuchu pies Cygan - warknął, ale jakoś niezdecydowanie i nie pewnie zarazem i zaczął przyjaźnie kręcić ogonem i łasić się. Musiał go poznać. Kowal pogłaskał staruszką i skierował się ku wejściu do domu.

Skrzypnęły drzwi i na progu ukazała się matka, patrząc nieco zdziwiona na przybyłego. Musiała go nie poznać w pierwszej chwili.

- Mamo! - krzyknął.

- Jasiu! - zawołała matka, otwierając szeroko swe ramiona, w której, Kowal wpadł, tuląc się z całych swych sił do matki.

Radość zmieszana ze łzami dławiała im głos tak, że oboje nie mogli w pierwszej chwili wydobyć z siebie słowa.

Po chwili nadszedł z ogrodu ojciec, zaczęli wychodzić z różnych zakamarków domu bracia.

Znowu powitania, znowu szloch i radość ogromna.

- Jasiu! - musisz zaraz pójść do Zosi, ona tu codziennie odkąd wróciliśmy, z matką przychodzi do nas.

- Dobrze, mamo - tylko trochę umyję się i odetchnę, bo jestem strasznie zmordowany tą jazdą i wygłodzony.

- Na jak długo masz urlop? - zapytał ojciec.

- Siedem dni i jeszcze jeden dzień na podróż. Wracam z powrotem do szkoły oficerskiej, a potem do pułku i albo na front - albo może wojna do tego czasu skończy się.

- Dałby Bóg! - powiedział ojciec.

- A co, czy Cygan był z wami cały czas, że ocalał?

- Tak, był z nami w Dorohowie, w domu zostały tylko oba koty i widzisz jak dobrze wyglądają.

- Musieli im Niemcy dawać dobrze jeść kiedy tu kwaterowali.

Janek umył się i po przygotowanym na prędcie przez matkę posiłku, odwiedził obie siostry, które mieszkały w pobliżu.

Następnie udał się do swego starego znajomego ogrodnika i po krótkiej pogawędce na temat wojny, z pięknym bukietem róż poszedł do Zosi. Przypomniały mu się pierwsze jej imieniny, kiedy to tak jak dziś z wiązką róż i gwałtownym biciem serca, szedł składać życzenia imieninowe. Ileż to wysiłku kosztowało ułożenie tych kilku słów. Na wspomnienie o tym Kowal uśmiechnął się do siebie.

Zapukał do drzwi kuchni. Nikt nie odpowiedział. Uchylił cicho drzwi i wszedł. Wszystko było tu po staremu. Kuchnia jak zawsze świeciła uderzającą czystością. Nie było tylko starej gosposi.

Kowal szedł dalej. Zapukał do drzwi saloniku, też nie było żadnej odpowiedzi. Wszedł cicho. Nic się tu nie zmieniło. Ten sam dywan na podłodze, te same obrazy na ścianach. Ten sam stół, przy którym obchodzono dawno - bardzo dawno temu imieniny Zochy - kiedy to w pierwszym roku nauki w gimnazjum, zaczął jej dawać lekcje.

Serce biło mu jak młotem. Chyba nic się tu w ciągu tych kilku dni od otrzymania listu, nie stało?

- Proszę! - usłyszał głos matki.

- Uchylił drzwi i stanął drżąc na całym ciele. Patrzały na niego z pewnym zdziwieniem, jakby go nie poznawały. Trwało to jednak przez mgnienie oka, a kiedy niepewnym i wzruszonym głosem powiedział - dzień dobry! Zocha zerwała się z krzesła i zanim zdążył przywitać się z matką rzuciła mu się na szyję.

Zapłoniony jak panna, z trudem wyswobodził się z jej uścisku i przywitał się z matką, wręczając jej różę.

- Bardzo dziękuję - powiedziała - pan Jasio zawsze taki elegancki. Co za niespodzianka - panie Janku - jak to dobrze, że pan przyjechał! Widzi pan, Zosia pisała właśnie list do pana. Ależ pan opalony i zmęczony pan tak, żeśmy w pierwszej chwili nie poznały pana!

- Jasiu! Mów na długo przyjechałeś?

- Na tydzień - odpowiedział Kowal

- Dobrze dzieci, posiedźcie tu i porozmawiajcie, a ja tymczasem włożę różę do flakonu i przygotuję coś do zjedzenia.

- Jasiu, kochanie moje! Jak wspaniale zrobiłeś, że przyjechałeś! Ja już myślałam, że oszaleję, tak strasznie za tobą tęskniłam. Śniłeś mi się wciąż po nocach, zawsze widziałam cię takim, jak wówczas w dzień odjazdu.

Pocałowała go gorąco w usta.

- Zocha! Nie wiesz ile się natęskniłem, ile się przez ten czas nacierpiałem! Ale wszystko to jednak warte tej jednej chwili, jaką teraz przeżywamy.

- A gdzie wasza gosposia? - zapytał.

- Odeszła od nas do swej rodziny na wsi.

- Musi być wam samym bardzo ciężko, kochanie.

- Jakoś dajemy sobie z matką radę.

Po obiedzie udał się z Zochą na spacer. Najpierw zwiedzili park. Było w nim cicho i spokojnie. Zatrzymali się na chwilę przy ławeczce obok krzewów jaśminu.

- Zocha! Czy pamiętasz? Pachniały tu wtedy jaśminy i różę, tak samo jak dziś!

Mocno uściśnęła jego ramię.

- A wiesz Janku - mówią, że we wrześniu rozpocznie się normalna nauka w gimnazjum.

- całkiem możliwe - odpowiedział. Wojna zbliża się jednak ku końcowi. Wiesz zapewne co się stało w Rosji?

- Wiem o tym. Był u nas jakiś czas na kwaterze oficer z 1-go pułku ułanów polskich. Urodził się i wychował w Rosji. Opowiadał nam o tym wszystkim co tam się działo. Wyjechał od nas na front pod Stanisławów i potem już nie widzieliśmy go więcej.

- Zocha - bardzo cię proszę - wstąpmy na chwile do mnie do domu, powiem rodzicom, że idziemy na spacer, a potem ruszymy w pola, w przestrzeń - daleko, gdzie oczy poniosą! Dobrze - Zocha?

- Wspaniale! - odpowiedziała.

- Masz przed sobą skazańca, któremu pozwolono żyć jeszcze przez tydzień, może przez dwa - dodał śmiejąc się.

Idąc przez miasto musieli się co chwile zatrzymać i witać ze znajomymi. Z każdym trzeba było zamienić kilka słów.

Pierwsze pytania, jakie znajomi zadawali, dotyczyły końca wojny. Kiedy to się skończy nareszcie utyskiwali wszyscy. Żywności brak, cukru nie ma na lekarstwo, pola stoją odłogiem. To wszystko zakończy się ogromnym głodem.

Istotnie, idąc przez pola, można było od razu zauważyć, jak znaczne obszary leżały odłogiem. Rosły na nich bujne wszelkiego rodzaju chwasty.

- Zocha! Wiesz - zrobimy dłuższy spacer, zaczniemy od mogiły na Pilawszczyźnie, a potem podejdziemy pod Kahawę i stąd do domu. Chciałbym - tak wiesz objąć to wszystko wzrokiem, uściśnąć - gdyby można - i zachować w pamięci na bardzo, bardzo długo. Nie raz po tych męczących ćwiczeniach, kiedy zasypiałem o głodzie - myślałem błędnie po tych łąkach, przechadzałem się nad tą rzeczułką, patrzyłem na te piękne, rozłożyste wierzby, oglądałem z tych wzgórz to nasze biedne, opuszczone miasteczko i z tym wszystkim zasypiałem, by rano obudzić się do tej wstrętnej bezmyślnej udręki.

Szli trzymając się za ręce, śmiali się głośno i przekomarzali się jak małe dzieci.

Znaleźli się na wzgórzach obok starej mogiły z czasów walk z Wołohami.

Roztaczał się stąd piękny widok na miasteczko położone daleko w dole i na lasy, ciągnące się wzdłuż drogi do Oknian i Oleszy.

Tu właśnie, na tych terenach, toczyły się w zeszłym roku zaciekle walki. Ciężkie działa rosyjskie były stąd nie tylko na miasto ale też na stację kolejową w Pałahiczach.

Moc porzuconego sprzętu wojskowego wałało się jeszcze na polach.

Widać było dość liczne pojedyncze groby poległych żołnierzy, a na skraju lasu Kahawy stały obok siebie dwie potężne zbiorowe mogiły - jedna niemiecka, a druga rosyjska.

Musiły tu odbywać się walki ręczne. Jakaś niesamowita cisza unosiła się nad tymi polami, w które tyle krwi ludzkiej wsiąknęło.

- Widzisz Zocha - odezwał się Janek - co to za potworne rzeczy dzieją się na tym świecie. Zapewne gdzieś w dalekiej Rosji czy Niemczech - matki, żony, na-

rzeczono czekają i ludzą się, że ten ktoś ukochany i drogi wróci, lub też lada dzień da znać o sobie.

Tymczasem trawa już porasta te mogiły, które z góry są skazane na zapomnienie.

Pomyśleć tylko, gdyby tak ci skrwawieni i zmasakrowani ludzie, mogli wyjść z tych mogił i pokazać swoje straszne rany i użalić się, że zmarnowano ich życie, że odebrano im miłość, to ludzkość cała zapłoniłaby się chyba ze wstydu i nigdy więcej nie dopuszczono by do tak potwornej hańby!

- Przecież to jeszcze nie koniec, wojna jeszcze trwa i kto wie jakie żniwo jeszcze zbierze - odezwała się Zocha.

Wracali w poważnym nastroju poprzez rozległą równinę porośniętą chwastami. Były to przed wojną piękne uprawne łąny żyta i pszenicy. Z pośród chwastów wyglądały potrzaskane jeszcze amunicyjne, porozbijane kuchnie polowe, czapki rosyjskie i niemieckie, hełmy stalowe i dość liczne niewypały artyleryjskie.

Nawet drzew nie oszczędziły kule armatnie. Piękne kasztany i lipy, które rosły wzdłuż drogi były też potrzaskane i okaleczone, a w jednym pniu lipy tkwił dziesięciocentymetrowy pocisk, który przebił drzewo nie eksplodując tak, że dno pocisku można było oglądać po jednej stronie pnia, a szczyt wraz zapałnikiem po drugiej stronie.

Ileż to jeszcze będzie nieszczęśliwych wypadków, gdy ludzie zaczną orać te pola.

- Widzisz Zocha - nawet pory roku wojna potrafiła zmienić i odebrać im ich właściwy charakter. O tej porze tętniło na polach życie. Żniwa dobiegały końca, zbierano plony, a teraz jedna wielka martwota i ta przerażająca cisza panuje tu.

Wracając wstąpili do rodziców Janka. Matka przygotowała gorące mleko i doskonałe placuszki z tartych kartofli, które po tej długiej przechadzce smakowały znakomicie. Już zeszli się sąsiedzi i trzeba było wysłuchać wszystkich opowiadań o tym, jak to się przeżywało te okropne dni, kiedy nad miastem przewalały się pociski armatnie, a boje toczyły się tuż opodal na wzgórzach i polach.

Gdy wieczorem Janek odprowadził Zochę do

domu, prosiła go niemal błagalnym szeptem, by każdą wolną chwilę spędzał z nią.

- Tyle natęskniłam się za tobą, że chcę przez ten tydzień powetować sobie wszystko - mówiła tuląc się do niego.

- Dobrze Zocha - jutro załatwię z ojcem tę pożyczkę wojenną, a potem cały dzień nasz.

Dni mijały szybko i zawsze były za krótkie.

- Nie prawda - mówił Janek w czasie jednej z przechadzek - że szczęśliwi godzin nie liczą. Widzisz Zocha, jak starannie wykorzystujemy każdą niemal minutę, jak dokładnie liczymy.

- A może my nie jesteśmy szczęśliwi? - przekomarzyła się z nim.

- Zocha - dobrze, że wydostałem się na ten urlop. Sądzę, że teraz łatwiej już będzie mi znieść tę rozłąkę i zwalczyć tę tęsknotę, z którą nie mogłem sobie w żaden sposób poradzić. Wiem, że ty jesteś tu z matką bezpieczna, że moi rodzice są na miejscu, więc co jeszcze? Nawet gdybym się znalazł na włoskim froncie - to wiesz - łatwiej będzie przetrwać, wspominając to co teraz przeżywamy.

- Jasiu! - przerwała mu Zocha, patrząc w oczy. Pamiętaj - gdziekolwiek będziesz - musisz głęboko wierzyć w to, że wrócisz, że musisz wrócić - bo ja tego serdecznie pragnę, bo ja cię kocham nad życie i nie ma takiej siły która by potrafiła ...

- Cicho - cicho Zocha - nie wzywajmy przeznaczenia. Jestem pewny, że stanie się tak jak mówisz.

- Będziemy zawsze wieczorami myśleć o sobie, a gdy myśli nasze spotkają się to wtedy, chociaż rozdzielni daleką przestrzenią, będziemy jednak blisko siebie - razem.

Jeszcze jeden dzień piękny i słoneczny. Odwiedzili koleżanki szkolne, które prawie wszystkie były na miejscu. Z kolegów pozostał tylko Lolo Sternberg, a reszta rozproszyła się gdzieś po świecie. Całą gromadką udali się do Kahawy. Czas upływał przyjemnie i radośnie. Wracając patrzyli na widniejące w oddali szczyty Czarnohory. Wspominali piękne wakacje spędzone latem 1914 roku w Jaremczu i Worochcie. Z tkliwością wspominali też Bojczuka. Ani się nie obejrzel, jak dzień zaczął chylić się ku końcowi.

c.d.n.

Tłumacz - te same miejsca



przed wojną



obecnie

Ottynijsko-Tłumaccy Marynarze

Hymn do Bałtyku

Wolności słońce pieści lazur
Łódź nasza płynie w świata dal
z okrętu dumnie polska flaga
uśmiecha się do złotych fal.
I póki kropla jest w Bałtyku
polskim morzem będziesz Ty.
bo w Twe wody szmaragdowe
spłynęła krew i nasze łzy.

Dumny ten „uśmiech polskiej flagi” potrafili zobaczyć z dalekiej, zagubionej na Kresach Ottynii trzej młodzi zapaleńcy¹⁾, wziąć go sobie do serca i za nim - niczym „Trzej - Królowie za gwiazdą” - pójść, by Fladze tej oddać wszystkie swoje siły, młodość, marzenia, a nawet życie.

O Ich wspaniałej służbie pod polską banderą opowiadają wspólnie z autorami marynistycznych kronik i wspomnień - pani Maria Rotter-Szczepanowska, długoletnia mieszkanka Ottynii, i Wojciech M. Wachniewski, hobbista morski ze Słupska. Bracia Deyczakowscy²⁾

Od początku XX wieku, a może nawet i wcześniej - jeden z mieszkańców Ottynii nazywał się Deyczakowski i pracował, jako inżynier drogowy. Miał dwóch synów - Zbigniewa i Zygmunta. Zygmunt był młodszym z braci, urodził się 30 maja 1905 roku w Ottynii. Obaj zapragnęli



Zygmunt Deyczakowski, ułan 214 pułku kawalerii Armii Ochotniczej w Tłumaczu. Rok 1920. Fotografia ze zbiorów ikonograficznych M. Nikosiewicza z Tłumacza

zostać marynarzami i tak się też stało.

O nich obydwóch wspomina kapitan Karol Olgierd Borchardt w swoich książkach "Znaczy - Kapitan" i "Krażownik spod Somosierry". W pierwszej z nich czytamy na temat starszego z dwóch braci, Zbigniewa:

Zbigniew Deyczakowski, zwany „Długim”, był jednym z pierwszych absolwentów Szkoły Morskiej w Tczewie i zdażył jeszcze odbyć kilka podróży na dużych żaglowcach francuskich. Żaglowiec zatonął na Biskaju, a „Długi” przeszedł na „Lwów” jako oficer, przynosząc ze sobą opowieści o zwyczajach sous les voiles de long-couriers.*)

W 1926 roku Zbigniew Deyczakowski, będąc wówczas trzecim oficerem „Lwowa”, uczestniczył w wycieczce, zorganizowanej ze statku na jedną z Wysp Alandzkich.

Starszy Deyczakowski jest także jednym z bohaterów „Niedokończonego reportażu”, jednego z rozdziałów „Krażownika spod Somosierry”, w którym załoga pewnego polskiego statku prezentuje „młodemu dziennikarzowi z interioru”, jak jego zdaniem wygląda życie na statkach.

Podczas wojny Zbigniew Deyczakowski, jako najwybitniejszy wtedy spośród wszystkich kapitanów „Polskarobu”, został kapitanem masowca „Zagłoba”

Jerzy Pertek - jeden z czterech „dziejopisów” Polskiej Marynarki Handlowej - tak opisał ten statek w swej „Drugiej Małej Flocie”:

S/s „Zagłoba” był najnowszym i największym ze wszystkich „Roburów”, co jednak nie znaczy, że był to duży statek. Przy pojemności niespełna trzy, a nośności nieco ponad cztery tysiące ton, należał w naszej flocie do jednostek średniej wielkości. Miał ładną sylwetkę, a jako najcenniejszy ze statków „Polskarobu” został flagowcem tego armatora [...] Pod dowództwem energicznego kapitana, a przy tym doskonałego nawigatora, oraz dobrymi oficerami i załogą, która bez większych zmian pozostawała na statku przez cały czas jego, istnienia - „Zagłoba” mógł być słusznie uznawany za jeden z lepszych statków polskiej floty. Jego największą wadą niejako już przyrodzoną, za którą nie ponosił najmniejszej odpowiedzialności, było to, że jako statek zbudowany do przewozu węgla na morzach europejskich, głównie Bałtyku i Morzu Północnym, nie bardzo nadawał się do żeglugi międzykontynentalnej, i to w dodatku na obfitującej w ciężkie sztormy trasie północnoatlantyckiej.

A właśnie na tę trasę statek został skierowany w drugiej połowie 1940 roku. Odtąd niemal bez ustanku przemierzał Atlantyk pomiędzy Wielką Brytanią a Ameryką. Na stronie 333 „Drugiej Małej Floty” czytamy:

W przedostatnim przejściu „Zagłoby” za ocean i z powrotem wziął udział Antoni Kołodziej i jego wspomnienia z tych dwóch rejsów mogą nam częściowo zastąpić relację z ostatnich podróży, a zwłaszcza z fatalnego rejsu powrotnego, który z nie znanych przyczyn został niedokończony. Wśród ciepłych słów, poświęconych Załodze statku, znalazły się i takie, dotyczące Kapitana: Całości przewodził i nadawał ton kapitan Deyczakowski. Zawsze wnikliwy i życzliwy wobec problemów i konfliktów pr-

wanych przez załogę i przez poszczególnych jej członków. Doskonały fachowiec, doskonały nawigator, trzeźwo oceniający życie i otaczającą rzeczywistość. Że taka atmosfera zaistniała wśród załogi, nie obyło się to bez osobistego wpływu kapitana.

Stosunkiem do wszystkich spraw statku potrafił sobie zjednać ludzi, a ci z kolei w zdecydowanej większości odpłacali mu się bezgranicznym zaufaniem i szacunkiem, co również udzieliło się małej grupie Brytyjczyków zatrudnionych na „Zagłobie”.

W końcu stycznia 1943 roku (po naprawie uszkodzeń, spowodowanych niezwykle silnym sztormem) statek wyszedł w rejs z kolejnym konwojem. W „Drugiej Malej Flocie” czytamy o tym nieco dalej (str.335):

Niestety i tym razem konwój znalazł się niebawem w orbicie nadzwyczaj silnego sztormu, jeszcze gorszego niż poprzedni. Był to już właściwie huragan o sile nie notowanej podobno od lat. W dniu 9 lutego, gdy statki znalazły się już po tej stronie Atlantyku, z komandorskiego statku widziano jeszcze „Zagłobę”, jak ze znacznym przechylem na lewą burtę podążał za konwojem. Ale następnego dnia nikt już polskiego statku nie ujrzał.

Według Admiralicji Brytyjskiej - można przypuszczać, że statek zatonął wskutek akcji nieprzyjacielskiej.

Zmarły w styczniu 1995 roku Jerzy Miciński - inny ze wspomnianej czwórki „dziejopisów” PMH i długoletni redaktor naczelny zasłużonego miesięcznika „Morze” - ustalił pewne fakty na temat prawdopodobnego losu tego masowca. Najprawdopodobniej statek został storpedowany na Atlantyku w dniu 6 lutego 1943 roku przez niemiecki okręt podwodny U-262.

W dniu 21 września 1945 roku przybył do portu w Gdyni s/s „Kraków” pierwszy polski statek handlowy, powracający z długiej służby zwycięskiej na morzu. Na nabrzeżu oczekiwały tłumy, jakich to miasto jeszcze po wojnie nie oglądało. Na stronie 413 „Drugiej Malej Floty” czytamy:

Przemawiający w imieniu Rządu dyrektor Departamentu Morskiego, Wojnar, powiedział m.in.:

„Stajecie dzisiaj przed nami dumni, żeście z tą banderą jako świętością narodową wrócili do kraju. Zapisaliście przez tych kilka lat na wygnaniu najpiękniejszą kartę w dziejach naszej floty handlowej i wojennej. Historycy i cały naród oceni należycie Wasze bohaterstwo i Wasze zasługi dla kraju i dla sprawy ludzkości, których symbolem jest Śp. Kapitan Deyczakowski, który zginął z całą załogą na posterunku w nurtach oceanu”.

Młodszy Deyczakowski - czyli Zygmunt - zrobił akurat pół dyplomu akademii górniczej, i pociągnięty opowiadaniem brata trafił na „Lwów”. Pierwszy trening pod żaglami odbywał na kupionej przez brata żagłowce, na Zatoce Gdańskiej, jeszcze przed wstąpieniem do Szkoły. [...] Skończył Szkołę Morską ze złotym zegarkiem i po paru latach trafił na jeden z Klejnotów, jako asystent.

K. O. Borchardt, „Znaczy-Kapitan”, rozdz. „Klejnoty i Pretorianie”.

Kapitan tego statku, Duńczyk, nie podejrzewał, że ma pod swymi rozkazami samego niemal Azję Tuhaj-bejowicza. Przekonał się o tym dopiero, gdy polecił Dejowi sprzątnąć serwis do kawy, przyniesiony na mostek przez stewarda: asystent, wdrożony do słuchania rozkazów, alicíci nie chcąc ni joty uronić z godności Dejów, wyrzucił

ów serwis... za burtę!

Drugim i najmniejszym z trzech tzw. „Klejnotów” PTTO/GALu - był s/s „Pułaski”. Nazwa „Klejnoty” nawiązywała do sposobu pozyskania tych statków przez ich duńskiego armatora - The East Asiatic Company (która zakupiła je za pieniądze, uzyskane ze sprzedaży klejnotów księżniczki Dagmary; zob. bliżej o tym - rozdział „Klejnoty” i Pretorianie w książce K. O. Borcharda „Znaczy-Kapitan”).

Na stronie 70 i następnych „Drugiej Malej Floty” Jerzy Pertek opisuje przygody s/s „Poznań” w początkach września 1939 roku, oczekującego w szwedzkim porcie Lulea na ładunek rudy żelaznej, przeznaczonej dla Polski. Zygmunt Deyczakowski był wówczas kapitanem tego statku. Około siódmego września - na żądanie Niemców - masowiec opuścił port pod eskortą szwedzkiego okrętu wojennego i popłynął do innego portu szwedzkiego, Gävle, niedaleko Sztokholmu. Jan Starzycki, podówczas jeden z oficerów „Poznania” - opowiada:

Postój w Gävle zaczął się jednak przedłużać. Kapitan nasz Zygmunt Deyczakowski, stanął przed trudnym zadaniem. Chodziło nie tylko o to, aby nie pozwolić na unieruchomienie statku, lecz i o utrzymanie w gotowości oficerów i marynarzy, którzy rwali się do czynnej walki z wrogiem. Dzięki świetnej postawie kapitana z pokładu s/s „Poznań” nie zszedł ani jeden oficer. Kapitan kilkakrotnie odwiedzał naszego przedstawiciela w Sztokholmie, usiłując uzyskać zapewnienie, że statek ponownie dostanie eskortę szwedzką i odpłynie do Goeteborga. Szwedzi jednak, obawiając się Niemców, odmówili eskortowania statku. Powróćmy do „Drugiej Malej Floty” na stronę 72. Kapitan Deyczakowski stanął przed poważnym zadaniem. Tylko polska załoga może o własnych siłach wydostać statek z Bałtyku. Było to bodajże 23 października - Fortuna uśmiechnęła się. W parę dni później znaleźliśmy się w Goeteborgu. Tam zastaliśmy sporo polskich statków. Jak się okazało - s/s „Poznań” był ostatnią jednostką PMH, jaka wymknęła się z Bałtyku. Na stronie 73 „Drugiej Malej Floty” czytamy: Za pomyślne wykonanie zadań planu ewakuacyjnego PMH i wyprowadzenie z portów bałtyckich pozostawionych tam statków, zarządy towarzystw armatorskich przedstawiły Ministerstwu Przemysłu i Handlu w Londynie wnioski o odznaczenie Krzyżami Zasługi z Mieczami ludzi, którzy szczególnie wyróżnili się podczas tej akcji.

Z „Poznania” odznaczeni zostali - kapitan Deyczakowski, starszy oficer Jan Starzycki oraz pięciu dalszych oficerów i marynarzy. Z kolei kapitan Zygmunt Deyczakowski otrzymał dowództwo „Chrobrego”. Ten statek, zwodowany w pierwszej połowie 1939 roku w Naxskov (jako ostatni nowy transatlantyk dla polskiej bandery) Został po wybuchu wojny przebudowany na transportowiec wojskowy, i przewoził żołnierzy z Kanady do Anglii. Rejsy przebiegały pomyślnie, mimo sztormowej pogody i silnych mrozów. 7 lutego 1940 roku kapitan Deyczakowski dostał od brytyjskiego kmdra Rawlingsa depezę uznania za biegłość w prowadzeniu statku i manewrowaniu nim. Kiedy w kwietniu 1940 roku rozpoczęła się kampania norweska ms „Chrobry”, jako transportowiec wojska, wziął w niej udział.

7 maja 1940 statek wyszedł ze Szkocji w swój drugi „norweski” rejs. 11 maja wszedł do portu w Harstad w

północnej Norwegii i wyokrętował swoich umundurowanych pasażerów. Tymczasem dalej na południu, pod miastem Bodo, toczyły się zażarte walki. Dowództwo alianckie postanowiło przenieść tam posiłki z Harstad, wykorzystując do tego zadania stojące w porcie „Chrobrego”. Owe posiłki - byli to żołnierze Gwardii Irlandzkiej, a także m.in. czołgi i miny przeciwczołgowe, których 50 ton załadowano do trzeciej ładowni statku.

W nocy z 14 na 15 maja 1940 roku seria bomb burzących i zapalających, zrzucona przez niemieckich lotników, trafiła w sam środek statku „Chrobry” natychmiast zaczął płonąć. Nie było żadnych szans na jego uratowanie. Starszy oficer „Chrobrego”, kpt. ż. w. K. O. Borchardt, który opisał ostatni rejs statku w swoim „Krażowniku spod Somosierry” (patrz tamże, rozdział „Pikrat!... Pikrat!...”) stwierdził, że na statku powstały dwa ogniska pożaru - jedno przed, drugie za trzecią ładownią z minami. Mimo to kapitan „Chrobrego” zachował spokój i zimną krew, kierując do końca akcją ratowania załogi i wiezionych żołnierzy. Wielu z nich zginęło jednak straszną śmiercią w płonącym bez ratunku kadłubie; z załogi statku zginęło 12 ludzi.

Po uratowaniu z zatopionego „Chrobrego” kapitan Deyczakowski objął dowództwo innego transportowca - włoskiej budowy „Batorego”. Ten motorowy czternastotysięcznik miał pod dowództwem „Młodszego Deja” zdobyć sobie miano „Szczęśliwego Statku” (ang. „The Lucky Ship”).

W dniu 5 grudnia 1940 roku „Batory” przeszedł pod zarząd brytyjskiego Ministerstwa Transportu Wojennego (Ministry of War Transport). Wcześniej stało się coś, dzięki czemu niewielki polski liniowiec i jego załoga z kapitanem Deyczakowskim - zdobyli sobie wielką wdzięczność pięciuset młodych brytyjskich dziewcząt i chłopców, a wraz z nimi i całej Wielkiej Brytanii. Był to pamiętny rejs z dziećmi bombardowanej Anglii, planowany początkowo do Afryki Południowej. Rozpoczęty w sierpniu 1940 roku, został nieoczekiwanie przedłużony aż do Australii, bowiem w Afryce dzieciaki podniosły regularny bunt, nie chcąc przesiadać się na inny statek z „Batorego”, na którym czuli się jak w domu, pod znakomitą opieką Kapitana (zwanego przez nich „Królem”) i całej bez wyjątku załogi. Wozila dzieciaki i „Queen Mary”, i to aż w trzynastu rejsach - ale przecież tylko na „Batory” w trzydzieści prawie lat po słynnym rejsie zameldowali się w Tilbury pod Londynem jego uczestnicy, aby pożegnać się z odchodzącym na „emeryturę” statkiem. „Druga Mała Flota” zawierała aneks z ważniejszymi datami z dziejów wojennej służby polskich statków handlowych. Znajdujemy tam sporo dat związanych ze służbą „Batorego”:

5.07.1940: BATTERY pod dowództwem kapitana Zygmunta Deyczakowskiego, SOBIESKI oraz MONARCH OF BERMUDA, wyruszają z Glasgow do Kanady wioząc złoto i kosztowności Banku Anglii oraz jeńców niemieckich.

13.07.1940: Aliancki konwój ze złotem zawija do Halifaxu, opóźniony wskutek uszkodzenia maszyn BATTERY - do St. John's.

05.08.1940: BATTERY wyrusza z Liverpool w ogromnym konwoju, wioząc blisko 500 brytyjskich dzieci do Australii.

20.08.1940: BATTERY, zawija na krótki postój do

Kapsztadu, gdzie brytyjskie dzieci urządzają skuteczny „bunt”; protestując przeciwko planowi przeniesienia ich na inny statek.

Po „buncie”, w dniu 25 września, „Batory” znalazł się w Colombo na Cejlonie (dziś Sri Lanka); 9 października - we Fremantle na zachodnim wybrzeżu Australii; 14 października - w Melbourne; zaś 16 października 1940 roku - w Sydney. W obu tych portach dzieci i ich brytyjscy opiekunowie opuścili statek, który wyruszył w dalszą drogę do Wellington na Nowej Zelandii (przybył tam 7 listopada 1940 roku). W Prima Aprilis (1 kwietnia) 1941 rok „Batorego” stojącego w Halifaxie, wizytował gen. Wł. Sikorski. Następnie „Batory” wraz z „Sobieskim” uczestniczył w kolejnych operacjach desantowych Sprzymierzonych, m.in. w Afryce Płn. (listopad 1942), na Sycylii (lipiec 1943), w Normandii (czerwiec 1944, największa w historii wojen operacja desantowa) i w Prowansji (sierpień 1944).

W dniu 29 marca „Batory” został zadokowany na trzy miesiące w stoczni w Glasgow.

Znany nam Jerzy Pertek (jeden z najznakomitszych kronikarzy obu „Małych Flot”, autor m.in. „Wielkich Dni Małej Floty”, „Drugiej Małej Floty”) w swej książce o „Królewskim Statku” („Batory”) tak pisze o wojennym dorobku i dalszych losach „Młodszego Deja”: podczas pięcioletniego remontu na przełomie lat 1945-46 zakończył swą służbę kpt. ż. w. Zygmunt Deyczakowski, który od końca czerwca 1940 roku, z krótkimi przerwami, przez wszystkie te lata dowodził największym statkiem naszej floty handlowej. [...] Ze wszystkich kapitanów PMH Zygmunt Deyczakowski posiadał najwięcej polskich i brytyjskich odznaczeń. Za dowodzenie „Chrobrym” podczas kampanii norweskiej kapitan Deyczakowski otrzymał Krzyż Walecznych oraz Order of the British Empire. Za dowodzenie „Batorym” podczas operacji inwazyjnej w Afryce Północnej został odznaczony brytyjskim krzyżem Distinguished Service Cross. Udział w inwazji na Sycylię przyniósł mu „Mention in Despatches”, czyli zaszczytną wzmiankę w brytyjskim komunikacie wojennym. Wreszcie za całokształt służby w okresie wojennym nadano kpt. Deyczakowskiemu Złoty Krzyż Zasługi z Mieczami.

Zdanie dowództwa „Batorego” kapitanowi Fr. Szudzińskiemu nastąpiło prawdopodobnie w dniu 5 stycznia 1946 roku.

Po zakończeniu zaszczytnej służby kapitan Deyczakowski postanowił dołączyć do swej rodziny, mieszkającej w Kanadzie.

¹⁾ Z *Ottynii* pochodził też kapitan Zbigniew Plezia, nieco młodszy od braci Deyczakowskich, również wstawiony w walkach morskich II Wojny Światowej.

²⁾ Rodzina Deyczakowskich przeprowadziła się z *Ottyni* do Tłumacza. Bracia Zbigniew i Zygmunt Deyczakowski byli uczniami Państwowego Gimnazjum w Tłumaczu, za nim dali się poznać jako sławni i bohaterscy kapitanowie żeglugi morskiej.

Zygmunt Deyczakowski, kapitan Batorego, w słynny rejs (05.08.1940r.) z dziećmi brytyjskimi do Australii zabrał tłumaczanina Jana Tabińskiego - mojego ojca, który ze wzruszeniem aż do śmierci wspominał ten rejs z angielskimi dziećmi i kapitanem - krajanem.

Danuta Tabińska-Juhasz

Historia pomnika Adama Mickiewicza w Stanisławowie

Od 1872r. prowadzona była w Krakowie akcja propagandowa na rzecz budowy pomnika Adama Mickiewicza w tym mieście. Szeroko reklamowane poczynania krakowian zaktywizowały też społeczności innych miast Galicji, W przeciwieństwie jednak do Krakowa, większość z nich nie dysponowała zbyt wielkimi środkami na ten cel. Dla kilku miast znaczną pomocą w realizacji projektu były trzy konkursy, na pomnik dla Krakowa. Artyści, którzy mimo otrzymanych nagród (jak np. laureat pierwszego miejsca w pierwszym i drugim konkursie - Tomasz Dykas), nie mieli szans na realizację swoich projektów w Krakowie, otrzymali tę szansę gdzie indziej.

Pomysł wystawienia w Stanisławowie pomnika ku czci twórcy Pana Tadeusza pojawił się w 1890 r. Inspiratorkami były żony miejscowych notabli. One to zainicjowały powołanie specjalnego komitetu, który miał zająć się zdobyciem odpowiednich funduszy oraz znaleźć najbardziej odpowiedniego artystę, który przygotowałby projekt pomnika dla jednego z największych miast Galicji. Znaczne kwoty na konto komitetu wpłynęły od rady miejskiej Stanisławowa, władz powiatowych i tamtejszej kasy oszczędności. Inne źródła dochodów - to społeczne składki mieszkańców miasta i okolic. Mimo dość wcześnie podjętej inicjatywy budowy pomnika, na jego realizację trzeba było czekać kilka lat. Dopiero w 1896 r. zdecydowano, aby twórcą monumentu został rzeźbiarz pochodzący ze Lwowa - Tadeusz Błotnicki. Komitet podpisując umowę z artystą postawił mu następujące warunki: figura poety miała być wykonana z kamienia tarnopolskiego, Mickiewicz ubrany w tradycyjny strój z epoki, głowa figury miała być wiernym portretem poety, wysokość figury miała wynosić 2,25 m, cokół pod tablicą dedykacyjną miał mieć dodatkowe ozdoby w postaci symboli poezji. Za ukończoną pracę Błotnicki miał otrzymać 3000 złotych reńskich. Według pierwotnych zamierzeń gotowy pomnik miał być odsłonięty w listopadzie 1896 r.

Tadeusz Błotnicki był szczególnie predestynowany do przedstawienia Mickiewicza w sposób portretowy. Jeszcze na początku swojej drogi artystycznej, dzięki pomocy hrabiego Lanckorońskiego wyruszył na półtoraroczne studia do Włoch, gdzie miał doskonalić swoje rzemiosło. Właśnie wtedy, w 1881 r. znalazł się we Florencji, gdzie zaprzyjaźnił się ze znanym polskim artystą Lenartowiczem. Korzystając z jego pracowni oraz jego wskazówek, już wtedy przygotował podobiznę Mickiewicza. Wykorzystał do jej wykonania maskę pośmiertną poety, która posłużyła do odtworzenia zarysu czaszki, resztę zaś uzupełniał na podstawie wizerunków Mickiewicza w zbiorach Muzeum Narodowego i innych.

Planowany początkowo na listopad 1896 r. termin odsłonięcia gotowego pomnika okazał się nierealny. Kamień tarnopolski, z którego miała być wykonana figura i cokół, sprawiał rzeźbiarzowi wiele kłopotów. W trakcie pracy nad cokołem Błotnicki musiał odrzucić, ze względu na powstające w kamieniu szczeliny, trzy prawie już całkowicie oszlifowane bloki kamienia. Kolejne trudności pojawiły się w czasie instalowania pomnika na wybranym placu w Stanisławowie - teren ten okazał się zbyt miękkim.

20 listopada 1898 r., osiem lat od rozpoczęcia prac

przez obywatelski komitet budowy pomnika Adama Mickiewicza w Stanisławowie, dokonano uroczystego odsłonięcia. Ponieważ zbiegło się to z setną rocznicą urodzin poety, na cokole umieszczono następujący napis: "ADAMOWI (MICKIEWICZOWI) w setną rocznicę urodzin (OBYWATELSTWO) m. Stanisławowa 1898 r". Od tej pory mieszkańcy Stanisławowa mogli się szczylić ciekawym pomnikiem wybudowanym specjalnie dla tego miasta. Niestety, rzeźbiarz zrobił im niemiłą niespodziankę i w 1903 r. sprzedał innemu galicyjskiemu miastu - Wieliczce idealną kopię stanisławowskiego pomnika. Jedyne na cokole umieszczono napis: "Adamowi Mickiewiczowi - Wieliczka". Oczywiście współczesna prasa pisząca o nowym monumencie nic nie wspominała o tym, że jest to powtórzona realizacja tego samego projektu, co w Stanisławowie, jednak każdy mieszkaniec tego miasta odwiedzający Wieliczkę widział, że stoi tam "ich" Mickiewicz. Jediną satysfakcją dla stanisławowian był fakt, że pomnik z ich miasta był pierwszą realizacją projektu Błotnickiego. Dalsze losy pomnika ze Stanisławowa są podobne do losów wielu innych pomników wystawionych przez Polaków na terenie Galicji. Podczas walk polsko-ukraińskich w latach 1918- 1919 większość monumentów została zniszczona lub mocno uszkodzona. Podobnie było i z tym pomnikiem. W listopadzie 1918 r. jeden z oddziałów ukraińskich operujących w mieście próbował powalić na ziemię figurę Mickiewicza. Okazało się jednak, że mimo pozakładanych lin i sporej grupy ciągnących je osób, nie można było nawet lekko ruszyć kamiennej postaci poety. Nie mogąc powalić pomnika, zaczęto go obtłukiwać kolbami karabinów i siekierami, co doprowadziło do licznych uszkodzeń figury i cokołu. Mimo wielu uszczerbków pomnik przetrwał jeszcze okres walk w całości, w przeciwieństwie do pomników wieszczą stojących np. w Drohobyczu, Złoczowie czy Tarnopolu, które zostały zniszczone doszczętnie. Później, gdy sytuacja na tych terenach unormowała się, w latach trzydziestych skopiowano uszkodzoną kamienną figurę Mickiewicza i odlano ją następnie w brązie. Dzięki temu zabiegowi pomnik stał się bardziej trwały. O wykonaniu odlewu zdecydował fakt, że o wykuciu w kamieniu nowej figury przez autora pomnika nie było już mowy, gdyż T. Błotnicki zmarł 31 marca 1928 r. Skopiowaną figurę ustawiono na nowym cokole, nieco wyższym od poprzedniego i o bardzo prostym kształcie. W takim stanie pomnik dotrwał do czasów drugiej wojny. Jak poprzednio, tak i tym razem dzieło Błotnickiego miało wiele szczęścia. W momencie krytycznym znaleźli się ludzie, którzy zakopali zdjętą figurę poety i przeczekali z jej ujawnieniem aż do momentu, gdy sytuacja była na tyle klarowna, aby stwierdzić, że pomnik wróci bez kłopotów na swoje poprzednie miejsce. Tym, któremu pomnik zawdzięcza swoje ocalenie przed barbarzyństwem, był Kazimierz Tatała.

Dzisiaj pomnik Mickiewicza nadal stoi w Stanisławowie, szkoda tylko, że dawny cokół zaprojektowany przez Błotnickiego w stylu odrodzenia zastąpiono po wojnie prostym, prostopadłościennym klockiem, który wynosi figurę na odpowiednią wysokość, ale nie tworzy z nią harmonijnej całości.



Pomnik Adama Mickiewicza dawniej...



... i obecnie.

fol. M. Rogalski

Tłumacz „Po zapomnianych ścieżkach” cz. III

Kalendarium (1700 - 1876)

*Szkice o Tłumaczu autorstwa Michała Budzaka
(Wyd. Tłumacz RWK „Złahoda 2001”).
Tłumaczył Jan Johnson.*

Lata 1700-ne

Po „Lustracjach” przeprowadzonych na początku XVIII wieku, ze względu na niewspółmiernie wysokie podatki w Tłumaczu rzemieślnictwo podupada. Z istniejących sześciu cechów w poprzednich latach pozostał tylko jeden.

1716 rok

W Tłumaczu zbudowano drewniany kościół. W oparciu o dane dominikańskie, koszty na budowę kościoła ofiarował (poniósł) namiestnik stanisławowski Antoni Borzy. Brakującą kwotę w tym na ogrodzenie kościoła w mieście zebrano od parafian. Do początku XX wieku zachowały się metryki z 1650 roku.

1730 rok

Był czarnym rokiem w historii miasta. Był rokiem pomoru. Dżuma w ciągu pół roku wyludniła Tłumacz do połowy albo i więcej.

1736 rok

Przez Tłumacz przeszło wojsko rosyjskie. W „Aktach Grodzkich” zapisano, że jeden z oddziałów dopuścił się „bezeceństwa” w stosunku do mieszczan rekwirując żywność dla kozaków.

1740 rok

Jerzy Potocki, właściciel Tłumacza, zapisuje miasto swojemu synowi Gustachemu, generałowi artylerii. Folwark Potockich posiadał w tym czasie 900 morgów ziemi, 313 mórg łąk i sianorząci, oraz 10 morgów lasów.

1762 rok

1 marca, pod osłoną nocy był napad opryszków na tłumackiego księdza, rozgrabili i zniszczyli cały majątek.

1771 rok

W okresie letnim, dwukrotnie napadała na Tłumacz wataha rozbójnika pod przywództwem dziedzica Twardowskiego ze wsi Piadyki - kołomyjskiego powiatu. Pierwszy raz „ogolęcili do nitki i pobili” księdza (swiaszczenyra) Lewynkobóroho, a po miesiącu przyjechali do niego z prośbą o wybaczenie za grabież. Lewinkowskij - wg zapisu w literackim zbioru „Halicko - Ruskiej Macierzy” przebaczył rozbójnikowi wszystkie jego grzechy”. Gdy tylko skruszony watażka wyjechał za miasto - zmarł.

1772 rok

Powinności odrobku, dotyczył wszystkich w Tłumaczu, jak stwierdzają stare zapiski archiwalne - oprócz rzemieślników. Ogólna suma podatku, jaką mieszczenie wnosili do państwowej kasy, wynosiła 1258 florenów i 59 grajcarów.

1773 rok

W tym roku, w Tłumaczu jak w innych miasteczkach i wioskach Galicji przeprowadzono pierwszy spis ludności. Jak z niego wynika w tym czasie w Tłumaczu mieszkało 860 osób.

1786 rok

30 stycznia. Jak wynika ze sprawozdania Stanisławowskiego Okręgowego Starostwa, galicyjskiemu gubernatorstwu - w Tłumaczu, naliczono 206 budynków zamieszkiwanych przez 1014 mieszkańców. Tłumackie starostwo podlegało Grzegorzowi Potockiemu. Miasto posiada kościół, oraz dwie cerkwie, które wg zarządzenia cesarza Józefa II-go mają równe prawa w podporządkowaniu Państwu. W zachowanych materiałach polskiego historyka A. Czołowskiego, wymienia się Tłumacz wśród tych miast i wsi kraju, w którym była dobrze rozwinięta hodowla bydła. Skupione w Tłumaczu byczki, czy konie kawalerskie prowadzono na sprzedaż do Ołomuńca, Wiednia, czy Berlina. Według oceny obserwatora - kupowano je bardzo tanio, a sprzedawano np. byczka sześciocetnarowego za 22 dukaty holenderskie, czyli kilkakrotnie drożej niż za niego zapłacono przy kupnie.

Austriacka reforma administracyjna ustanowiła Tłumacz jednym z 12 okręgów administracyjnych w Galicji.

1799 rok

Kozacy z pod komendy księcia Kantymira, którzy szli z pod Stanisławowa ku granicy mołdawskiej, przechodząc przez Tłumacz ograbili kościół, folwark przy nim, majątek Monstrancji Staroświeckiej, oraz zamek. Szkody uczyniono na sumę dwóch tysięcy talarów.

1800 rok

Roman Petriw w artykule „sól, armaty i papier” zamieszczonym w periodyku „Dźwin” Nr 1 z 1994 r (Dzwon) pisze, że na początku XIX wieku w Tłumaczu szybko rozwijała się produkcja fajansów i trudniło się nią ponad 10 osób.

1807 r

W Tłumaczu urodził się znany polski poeta i publicysta Wojciech Cybulski. Swoje utwory podpisywał pseudonimem: „Kowal z Tłumacza”. Zamieszczał je m.in. w gazecie „Ruski Dziennik (1848 r.)”. Wydał kilka broszur i artykułów pisząc literami łańciskimi, które dobrze znali i odpowiadali: Iwan Franko i Michajło Drahomaniw. Umarł w 1867 r.

1809 rok

Stanisławowskie Towarzystwo Narodowej oświaty, jak wynika z zapisków jego działalności, w przededniu świąt

wielkanocnych założyło w Tłumaczu uczelnię. Mieściła się ona w domu księdza i co niedzieli po nabożeństwie zbierała się tam miejscowa inteligencja. W dokumentach polskiego kościoła pod wezwaniem Św. Anny zanotowano o istnieniu tłumackiej piekarni znajdującej się na przeciwko folwarku księdza Preczyńskiego - w pobliżu dzisiejszego budynku szkolara. Czerwiec . W Stanisławowie doszło do zbrojnego starcia między 26-cioma polskimi strzelcami konnymi a 50-cioma żołnierzami austriackimi. Odstępując od miasta korpus księcia Hohenlogo skierował się na Tłumacz i tu również doszło do starcia z miejscowymi strzelcami polskimi.

1813 rok

Urząd austriacki wydał zezwolenie na budowę jednoklasowej szkoły oraz jej utrzymania za pieniądze społeczeństwa tłumackiego. Budowano ją przez 6 lat.

1828 rok

W okresie dwu - trzyletnim był tu księdzem Kiryło Błoński. Zajmował się również spisywaniem ludowych pieśni i opracowywaniem ukraińskiej gramatyki.

1830 - 1840 lata

W tym okresie w powiecie tłumackim rozwinęła się produkcja kukurydzy.

1830 rok

9 kwietnia urodził się ukraiński pisarz Tyt Błoński. W 1854 r. ukończył dworski Uniwersytet. Autor poematu „Aremańska niewolnica” (1863 r.), tragedia „Anastazja” (1886 r.), powieść „Rozwalina”, wiele wierszy, literackich felietonów drukowanych w gazecie „Słowo”. Zmarł we wsi Dora w pobliżu Jaremca w 1897 r.

1831 rok

Był rokiem, w którym cholera w Tłumaczu i najdalszej okolicy zbierała obfite żniwo. Jak wynika z zapisków D. Hucuła z Pałahicz „chorych wywożono furami w las i obсыpywano wapnem, pozostawiając samych na trzy dni w lesie. Kto wyzdrowiał sam powracał do domu, a zmarłych wrzucano do wspólnej mogiły. W Tłumaczu wg. tych zapisków, zmarło powyżej 200 osób w czasie szalejącej cholery.

1848 rok

30 maja odbył się w Stanisławowie polityczny wiec, na który z Tłumacza przyszło 20 osób. W prasie znalazła się notatka o uruchomieniu w Tłumaczu fabryki maszyn rolniczych, oraz części do nich. Były to „najlepsze w kraju” (taką cieszyły się opinią) pługi, siewniki konne i brony.

1850 rok Był to rok rozwoju i rozbudowy Tłumacza. W okresie od wiosny do jesieni założono wodociąg długości 500 sążni, wybudowano wodny młyn, mosty, śluzy, osuszono młaki (podmokłe łąki), uruchomiono odkrywkową kopalnię torfu, gipsu i wapna.

1852 rok

Uruchomiono gorzelnię, która z melasy produkowała spirytus. Wyposażona w dwa aparaty „Pistriusa” i jeden do rektyfikacji wyrobu.

1858 rok

Rozporządzeniem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Finansów Austrii, Tłumacz stał się miastem powiatowym, w skład powiatu wchodziło 28 gmin z 3143 mieszkańców. Miasto zamieszkiwało w tym czasie 2158 osób.

1860 rok

Na organizowanej wystawie rolniczo - użytkowej w Wiedniu staraniem W. Dzieduszyckiego znalazło się stoisko z

przepięknymi pisankami wykonanymi przez domorostych artystów z Tłumacza i okolicznych wsi. Ich różnorodność, bogactwo wzorów skłoniło jury do przyznania medalu krajowi nad Dniestrem. Jeszcze tego roku pisanki z Tłumacza zachwycały oczy we Włoszech m.in. w Mediolanie.

1865 rok

Z historii Tłumacza zapamiętany jako „Głodny rok”. Żyto nie urodziło, długa posucha - było przyczyną zgonu ponad 120 dzieci.

1861 - 1865 rok

W tych latach mieszkał i pracował w Tłumaczu znany poeta i tłumacz Grigirij Strachocki. W czasie swego krótkiego życia 28 lat (zmarł 10 października 1865 r.) przetłumaczył fizykę Szabusa na język ukraiński? Był autorem „Modlitwostów dla dziewic rosyjskich”. Pod pseudonimem „Hryć Nadworoński” napisał poemat „Na (zwaliskach) ruinach zamku Halickiego”

1866 rok

Jak podaje gazeta „Głos Narodu” Nr 18 z 15 września z powodu nieurodzaju około 100 Tłumaczan dotknął wielki głód. Ponad połowie pomaga Towarzystwo Akcyjne tłumackiej cukrowni ze swoich dochodów, dostarczając żywności biedakom. 26 października - na zaproszenie miejscowych miłośników malarstwa i fotografii - został zaproszony do Tłumacza znany fotografik Tyt Dobriański (Dobrzański ?) z Czerniowiec.

1866 - 1867 rok

W Tłumaczu trzykrotnie przebywał znany folklorysta Meliton Buczyński. Spisywał ludowe pieśni, przyśpiewki, pastorałki, kołomyjki. Wraz z innymi ludowymi utworami zebranych we wsiach: Kułyska, Hryniowce, Oleszów - publikował w folklorystycznych wydawnictwach: W. Antonowicza, J. Rudczenka, I Wagilewicz oraz książce: „Nowe ukraińskie pieśni o wiejskich sprawach”, którą w 1881 r. w Genewie wydrukował Mychajło Drogomaniw.

1867 rok

W ciągu miesiąca czerwca, często w mieście przebywał jeden z najślawniejszych polskich portrecistów Henryk Rodakowski. Po powrocie z Paryża zamieszkał z Pałahiczach u swego brata Maksymiliana. Chodził często po ruinach zamku i okolicy. Tu też powstał słynny cykl: „Pałahicki album”.

1874 rok

W Tłumaczu została otwarta apteka (p. Szankowskiego).

1876 rok

26 listopada w Tłumaczu urodził się znany polski dziennikarz i krytyk literacki O. Ortwin (Oskar Katzenellonbogen). Ukończył Wydział Prawa na uniwersytecie Lwowskim. Redagował gazetkę „Małpie lustro” (1903 r.), „Nasz Kraj” (1908 r.), „Tygodnik literacki” (1922 - 1923 r.). Wydał serię pięknych książek europejskich „Sympozjum”. Jego głośne literacko - teatralne recenzje i „rozmyślenia” weszły do zbioru „Próba przekroju”, który wyszedł drukiem w 1936 r. we Lwowie

c.d.n.

Pamiętki

Kornelia Szankowska

*Czy wiesz skąd ja mam te gałązki?
Z cmentarza który jak Powązki
Świętością jest dla Polaków
Jedną z największych we Lwowie!
Cmentarz na Łyczakowie.*

*A skąd przywiozłam te osty i kwiaty?
To piękne wschodnie Karpaty
I dawne nasze Zakarpacie
Gdzie dwa piękne dni spędziłam w chacie.*

*Weź ten kasztanek-pamiętkę maleńką
Jest sercem otaczany
Już skorupka na nim pęka
A to całe Brzeżany.*

*To wyszczerbiona płytka
Nie wyrzuć jej - tego się nie wybacza
To jest płytka z posadzki
W domu babci - z apteką, z Tłumacza*

*Trzeba tam jechać jeszcze wiele razy
By zapamiętać te widoki, te obrazy.
Pojechać do Krzemieńca, Czortkowa, Tarnopola
Aby poczuć piękno Wołynia i Podola*

Lata wojenne 1939 - 1945

Zapomnieni i zdesperowani (cd)

Stanisław Fudali

Drukujemy dalsze odcinki wspomnień naszego krajana z jego pobytu na zesłaniu w ZSRR. Są to fragmenty z niewydanego jeszcze dużego opracowania p.t. „Osiemdziesiąt miesięcy w kleszczach sierpa i młota”

Redakcja

Związek Patriotów Polskich i gazeta "Wolna Polska"

O powstaniu w ZSRR wiosną 1943 roku Związku Patriotów Polskich i tworzonej przez niego Dywizji im. T. Kościuszki wiedzieliśmy od prawie roku. Wiedzieliśmy też,

że ta Polska Dywizja już 14 października 1943 roku stoczyła pod Lenino zwycięski bój z Niemcami (ale nie wiedzieliśmy jakim kosztem) i że najkrótszą drogą zmierza do Polski, ramię w ramię z Czerwoną Armią, która przed ponad czterema laty wbiła nam nóż w plecy, kiedy broczyliśmy krwią w walce z Niemcami. Nie ganiliśmy tego "braterstwa broni", ale i nie cieszyliśmy się, bo - prawdę mówiąc - nie było czym. Wszak nasze nadzieje na pomoc francuskich i angielskich sojuszników nie spełniły się (a oni nie anektowali nawet piędzi polskiego terytorium!), i nie spełniły się nadzieje na skuteczną pomoc polskiego rządu w Londynie; może zbyt wiele oczekiwaliśmy, może Sikorski niewiele mógł, a może sam Bóg tak chciał?

Mieliśmy jakiś dystans do ZPP i jego poczyniń, bo wszystko co trąciło prosowieckością (a ZPP wyraźnie tym trącił!) przyjmowaliśmy nieufnie. Na pewno nie liczyliśmy na pomoc ze strony ZPP ani ufali, że Kościuszkowcy" wyrąbią" nam drogę do Polski. Byliśmy zafrasowani dniem dzisiejszym a nie przyszłością - najbliższym celem było włożenie czegoś "zjadliwego" do ust, a powrót do swoich przesunął się w naszej świadomości nie tyle na drugi, co na piąty plan; przestaliśmy wierzyć, że ktoś zechce ulżyć naszej doli. Przede wszystkim chcieliśmy najpierw coś zjeść, możliwie do syta, a dopiero później, i chyba już nie w pierwszej kolejności, jechać do swoich i w swoje strony. Głód - to ustawiczne niezaspokojone łaknienie, skutecznie oddalał gdzieś poza horyzont wszelkie inne pragnienia; mam wrażenie, że w tym właśnie czasie wielu z nas hipotetyczną transakcję: najeść się do syta albo wrócić do swoich, rozstrzygnęło by na korzyść najedzenia się, bo po prawie czterech latach rozłąki i spotęgowaniu się niewiary co do słuszności wyroków ludzkich i boskich, spotkanie się kiedykolwiek ze swoimi bliskimi przybrało realność sennych marzeń.

Późnym przedwiośnią roku 1944 dotarło do nas, wydrukowane w "Stalińskim Puti" na dwóch lub 2 1/2 stronach, szczegółowe sprawozdanie z działalności radzieckiej komisji akademika Nikołaja Burdenki² badającej zbrodnię hitlerowską (sic!) na polskich oficerach zagarniętych do "niewoli" w 1939 roku przez Krasną Armię. Szczegółowo i logicznie opisano tam, jak to polscy oficerowie uwolnieni z radzieckiego internowania znaleźli się w rękach niemieckich i zostali zaraz przez sztab 537 batalionu budowlanego pomordowani w lesie katyńskim w 1941 roku. Przytaczane były liczne i dość obszerne zeznania naocznych świadków tej zbrodni, z podaniem ich imion, nazwisk i patronimików, obywateli radzieckich zamieszkujących okolice Katynia, którzy zmuszeni zostali do wykonywania brudnej roboty.

Czytelnik radziecki zapewne nigdy nie próbował zrozumieć, dlaczego polscy oficerowie uwolnieni z "przyciagielskiego" obozu radzieckiego czekali beczynn timer, aż ich zagarną Niemcy. Ci, którzy zlecili pisanie takiej bzdury, uważali chyba czytelników za skończonych głupców. Czytając ów niepodważalnie uzasadniony fragment raportu Burdenki, ja - wówczas! 14 1/2-letni podrostek, ale Polak - nie mogłem uwierzyć w dalszy stek bzdur; ale na temat Katynia nie zabierałem głosu. Kogo bowiem obchodzili wtedy Polacy pomordowani przez Niemców czy nie-Niemców, gdy jakże więcej Rosjan i nie-Rosjan ginęło na froncie.

Na przedwiośniu 1944 roku nadeszły do nas pierwsze egzemplarze "Wolnej Polski", od roku wydawanej przez ZPP, a wraz z nimi propozycja wstąpienia w szeregi Patriotów Polskich. Propozycja ta - sformułowana w patriotyczno-ideowo-górnołotnym bełkocie - nie była dla nas nawet cieniem nadziei na rychłą odmianę losu, a tylko ewentualną tego możliwością, i której nie należy a priori odrzucić - wszak straciliśmy już dość dawno zdolność racjonalnego przewidywania. Dlatego Mama, Kubiaczka i Sokalska (a może i Seginowa?) przestały dokądś tam deklaracje o przystąpieniu do ZPP - był to przecież nikły, ale cień nadziei, że los nasz może się odmienić; nie wierzyliśmy już w taką odmianę ale i nie mogliśmy pozbawiać się cienia tej nadziei. Wszak byliśmy w sytuacji beznadziejnej - zruszczyć się albo być wiecznie obywatelem trzeciej czy piątej kategorii. Nie chcieliśmy jeszcze stać przed takim wyborem.

A polskie drukowane słowo było wtedy artykułem pierwszej potrzeby duchowej; Mama zaprenumerowała "Wolną Polskę", acz nie przyjmowaliśmy jej z takim uniesieniem i doznaniem, z jakim przed dwoma laty czytaliśmy »Polskę«. Pierwsze numery, jakie do nas dotarły na przedwiośniu 1944 roku nie zachowały się; pierwsze zachowane pochodzą z wiosny 1945 roku.

Słoma Z Kurhanu

Była już zapewne druga połowa września 1943 roku, Mama pracowała na paszni w pobliżu Kurhanu i pewnego dnia uzyskała zgodę brygadiera na wzięcie po robocie, czyli po zachodzie słońca, wozu i wołów celem przywiezienia słomy dla naszej Ninki. W nałożeniu słomy na wóz pomogła Mamie Marusia Suchoruczenko, z którą w dzień pracowała. Po załadowaniu Marusia poszła do domu na piechotę, a Mama z wołami została w tyle; było już dość późno i ciemno. Z pola, z którego brała słomę, zjechała na wyjeżdżoną stepową drogę i skierowała woły wzdłuż niej, a sama włązła na wóz i poganiała zwierzęta.

Woły niezbyt chętnie chciały iść, ale Mama je niemal bez przerwy popędzała - było późno a zwierzęta zmęczone całodzienną pracą. Było ciemno, księżyc jeszcze nie wzeszedł i Mama drogi nie widziała, a tylko czuła ją po drganiach wozu. Gdy odczuła, iż wóz drga mocniej, czyli nie toczy się po drodze, lecz po bezdrożnym stepie, kupa słomy zsunęła się z wozu (wóz nie był przyciśnięty drągiem); Mama pomyślała, że byki zgubiły drogę. Zatrzymała je więc, zlazła z wozu i zgubioną słomę narzuciła na wóz, a potem zaczęła szukać drogi, ale bez skutku. Chwyciła więc sznur zawiązany na wolicz rogach i pociągnęła zwierzęta tam, gdzie wydawało się jej, że powinna być droga; ale drogi nie było. Woły uparcie kierowały się w stronę przeciwną niż ciągnęła je Mama, a słoma płachciami zsuwała się z wozu - już jej Mama nie nakładała z powrotem; uświadomiła sobie wtedy, iż całkowicie straciła orientację w terenie. W końcu, umordowawszy się z wołami, włązła na wóz i bydłom dała swobodę. Wóz toczył się po nie gładkim stepie i trząsł się na nierównościach, a słoma zsuwała się na ziemię - Mama zmęczona i poważnie zaniepokojona przestała na to reagować.

Z wysokości naładowanego słomą wozu wypatrywała światła w oknach wioski, ale dokoła było ciemno.

Po dłuższej chwili gdzieś z boku zauważyła słabe ogniki - pomyślała, że są to wypatrywane światła wioski i w tę stronę chciała skierować woły, które nie popędzane o wiele zwawiej ruszały się niż przedtem. Gdy zsuwała się w tym celu z wozu, z tyłu również zauważyła podobne ogniki, a te poprzednie gdzieś się podziały. Wtedy Mamę ogarnęło przerażenie - zdała sobie sprawę, że to nie ogniki światła wioski, ale błyski wilczych ślepi: zamiast w dół, wdrapała się na sam wierzch pozostałej na wozie słomy i zaczęła się głośno modlić; nie reagowała już na kierunek, w jakim idą woły, ani na płachcie słomy spadające na ziemię.

Woły nie nękanie szły dość rażno i wnet rozmodlona Mama po coraz mniejszych wstrząsach wozu odczuła, że znalazła się na wyjeźdźonej drodze; uznała to za skutek modłów słanych do Boga i Najświętszej Panienki - nie pomyślała bowiem, że to instynkt zwierząt dążących do odpoczynku był sprawcą tego cudu. W chwilę potem zauważyła autentyczne, a nie iluzoryczne słabe pojedyncze światła pochodzące z wioski - dojrzała też latarnię na kołchozowej stajni. Dopiero wtedy odetchnęła. Zrozumiała, iż woły od samego początku szły, bądź starały się iść we właściwym kierunku, a Jej interwencja sprawiła, że podążyły w innym. Przed północą wzeszedł księżyc i właśnie wtedy zauważyłem za oknem wóz do połowy wyladowany słomą - niewiele ponad drabiny. Wybiegłem na dwór i razem z Mamą zrzuciliśmy ocalałe resztki słomy na dachprygonu, potem odprowadziłem wóz i woły na bazę. Następnego dnia Chożaj, wypasający owce w pobliżu Kurhanu, opowiadał pracującym przy stertowaniu kobietom, że ktoś po całym stepie, hen aż do Gorkiego jeziora, porozrzucił słomę na odległość około 3 km od ścierniska, na którym Mama brała słomę.

Kąpiele w bani

Na ogrodzie przy ziemiance Kubiaczki stała bania i z niej korzystaliśmy; bania jest osobliwością rosyjską, zbliżoną do sauny fińskiej. Jak wyglądały banie w miastach, trudno mi powiedzieć - tylko raz w takiej byłem, w Kustanaju. Natomiast w wiejskiej bani, nie jednej, bywałem wiele razy. Była to zwykle miniaturowa ziemianka, o wymiarach wewnętrznych 2,5x2,5x2 metra, której połowę powierzchni zajmowała szeroka półka zawieszona w połowie wysokości, a drugą połowę zajmowała beczka z wodą i palenisko, na wierzchu którego nałożone były dość duże kamienie i szczątki żeliwnych garnków. [Skąd te kamienie w bani - nie mam pojęcia, bo tam, gdzie byliśmy, żadnych absolutnie kamieni nie było, nawet drobnych w glebie]. Odzież zostawiano w pribannikie - dobudówce tejże wielkości co bania, zadaszonej i o ścianach z chrustu, oblepionej gliną, z otworem wejściowym bez drzwi.

Użytkowanie bani było proste - rozpalano ogień w palenisku i po rozgrzaniu kamieni polewano je wodą z beczki. Dla zażycia kąpieli cała rodzina wchodziła do wnętrza, oczywiście w stroju adamowym, i w powstałej parze - siedząc na półce lub stojąc na podłodze - bito się brzozowymi wienikami, czyli wiązankami z cienkich gałązek brzozy (w tamtejszych lasach przeważała właśnie brzoza). Rozparzone ciało, wyświechtane brzozowymi wiechciami, łatwo było splukać ciepłą wodą i zmyć z siebie brud, nawet nie używając do tego mydła. W charakte-

rze mydła wykorzystywano, acz nie systematycznie, grudki glinki kaolinowej spotykanej w niektórych miejscach nad jeziorem - glinę tę nazywano tam kaczym mydłem. Prawdziwe mydło w czasie wojny było niedostępne - ani w sklepie, ani w domowej produkcji.

Do bani nie chodziliśmy często. Bania nie znajdowała się przy każdym domostwie raczej przy co czwartym lub piątym. Zgodnie z tamtejszym obyczajem, banię do kąpieli przygotowywały na ogół dwie rodziny, a nawet trzy - wspólnie noszono wodę do beczki i przynoszono drwa; kolejność korzystania ustalano jakoś tam. U Woropajewych w Reducie i u Tyrtysznych bani nie było, dlatego banię u Kubiaczki uznaliśmy za udogodnienie życia. Nie znaczy to, że kąpaliśmy się co tygodnia - na to nie było czasu: aby zażywać kąpieli, trzeba było nanosić wody z jeziora i dopilnować ognia w palenisku; kąpaliśmy się raz w miesiącu.

Często w bani kąpałem się razem z Milkiem, zwłaszcza w zimie. W miarę używaliśmy brzozowych wiechci, a rozgrzani parą wyskakivaliśmy na golasa nie tylko do pribannika, ale i na śnieg leżący na zewnątrz - urządzaliśmy zawody, kto więcej razy obiegnie banię po śniegu leżącym na zewnątrz. Chodziło o to, kto zmarznie prędzej, bo mróz bywał tęgi, a my zupełnie nadzy - z wygraną bywało różnie.

Techniczna próba sań

Głęboką jesienią 1943 r. umyśliłem zrobić sanie do zaprzęgania Ninki, aby móc przywieźć słomę ze stepu (za przyzwoleniem kołchozu) i chrustu (a także drewna, ale nielegalnie) z lasu. Wybrałem w lesie drzewa z odpowiednio wygiętymi pniami i ściągnąłem je do domu, odpowiednio ociosałem i za pomocą siekiery oraz dłuta zmajstrowałem sanie. Śnieg już wtedy przykrył step i ja (sam, ale w Mamy walonkach, bo właśnie tej jesieni Mama je kupiła) wybrałem się z Ninką i saniami na step po słomę. Do sterty ze słomą dotarłem bez problemów, nałożyłem na sanie słomę wraz z plewą, zarublowałem, zawiązałem i ruszyłem z powrotem. Z gorliwości naładowałem na sanie zbyt dużo i nałożyłem zbyt dużo plewy w stosunku do ilości słomy na saniach (plewy Ninka chętnie jadła, a słoma miała służyć na podściółkę), zaś na domiar złego pojechałem "na skrót" przez w jesieni zaorane pole.

Zaorana rola nie była w pełni pokryta śniegiem jak trawa na stepie, ale była zmrożona, i dlatego płozy sań co rusz natrafiały na wystające grudy, stawiające znaczny opór ślizgowi płóz, i Ninka mocno się napinała, aby pokonać przeszkodę. Gdy ją pokonała i płozy lekko poszły po śniegu, sanie natychmiast przyspieszały i przodek sań walił krowę w nogi. Po kilku takich doświadczeniach krowa "zwariowała" i pognęła -biegiem, a ja z trudem za nią nadażałem. W rezultacie tego sanie wywróciły się, a Ninka z konieczności przystanęła: zanim powstałem sanie na płozach, krowa uspokoiła się i znów ruszyliśmy w drogę, ale już ze znacznie mniejszym ładunkiem; po wywrotce sań sporo plewy wysypało się na ziemię i nie sposób było jej pozbiierać. Po kilkudziesięciu dalszych metrach sytuacja niemal powtórzyła się przepłoszona Ninka pobiegła z saniami, a ja za nią; poluzowany ładunek wysuwał się i znaczył ślad sani. Wreszcie

usłyszałem ostre trzask i Ninka przystanęła - na jakiejś twardszej grudzie złamała się jedna płoza w swojej połowie, ta osikowa, i przekręciła w poprzek; było już po saniach. Wyłamałem przekręconą tylną połówkę płozy i ruszyłem dalej z żalosną ilością ładunku; na szczęście, równa droga była już tuż-tuż. Dalej już wszystko przebiegało normalnie - ostatecznie ze wstydem, spocony i zmęczony, do zagrody zaniósłem parę naręczy przywiezionej słomy; połamanych sań nigdy nie próbowałem naprawić ani zrekonstruować.

Listy za front

Na przełomie marca i kwietnia 1944 roku, z gazety rejonowej zorientowałem się, że front walk z Niemcami znalazł się w pobliżu Tarnopola. Mając już wtedy przeświadczenie o nieuchronności zwycięstwa Wielkiej Koalicji, uznałem, iż za dwa tygodnie radzieckie wojska zajmą Tarnopol i przyległe tereny, a także Stanisławów. Wobec tego już w marcu i kwietniu 1944 roku, napisałem listy do Zabojek i do Tyśmienicy, wówczas jeszcze po niemieckiej stronie frontu. Miałem przeświadczenie, iż w ciągu dwóch tygodni - niezbędnych do przemieszczenia moich listów - tereny te zostaną odebrane Niemcom i moja korespondencja dotrze do adresatów. Oczywiście, zakła-

dałem przy tym, że w Zabojkach i Tyśmienicy przez te prawie 3 lata okupacji niemieckiej nic się nie zmieniło w położeniu naszych bliskich. Poza tym nie wpadło mi do głowy, że poczta radziecka w strefie przyfrontowej może mieć inne priorytety niż doręczanie cywilnej korespondencji.

Niewytłumaczalnym do dzisiaj zbiegiem okoliczności okazało się, że moje szczenięce przewidywania i rachuby ziściły się. Listy moje w trójkątnych kopertach, zrobionych z odwrotnej strony listów, dotarły do adresatów, a na pewno ten do Dziadzia z Gaju pisany w dniu 8 kwietnia 1944. Nie wiem kiedy listy te dotarły do Zabojek, ale 1 czerwca 1944 na taki list odpisała Stryjenka Józia; do Tyśmienicy chyba nie dotarły wcale, bo tam już nie było nikogo z rodziny, a do Dziadzia z Gaju wiadomość o nas dotarła drogą okrężną przez Stanisławów. Do dzisiaj żywię uznanie dla radzieckiej poczty, że w tych gorących niemal dniach, pod linią frontu doręczyła cywilne listy do cywilnych adresatów - jakim „cudem” to się stało - nie wiem. Było to potwierdzeniem trafności moich rachub - wiadomości o naszym jeszcze istnieniu i nowym adresie dotarły do adresatów. Cel główny - nawiązanie łączności - został osiągnięty, a szczegóły jak to się stało, wtedy nie były dla nas istotne; po 56. latach miałyby to jakieś znaczenie, ale tylko historyczne.

c.d.n.

60 rocznica mordów OUN - UPA na Kresach Południowo-Wschodnich

Podzielamy pogląd, że rocznica ta przypada dla Kresów Południowo-Wschodnich w 2004 roku. Wprawdzie już od 1939 r. zdarzały się wypadki zabójstw pojedynczych Polaków, zwłaszcza powracających z wojska żołnierzy. Jednak zbiorowe mordy dokonane przez banderowców na polskiej ludności w powiecie tłumackim jak też w innych powiatach, miały miejsce począwszy od wiosny w roku 1944.

Dla tego też realizacja uchwały Zarządu OOT w sprawie ufundowania tablicy pamiątkowej ku czci pomordowanych Polaków w pow. Tłumackim i umieszczenie jej w kościele pw. św. Doroty i Stanisława we Wrocławiu ma nastąpić w 2004 roku. (Będzie to nasza 3-cia tablica w tym kościele).

Nadal niecierpliwie oczekujemy na datki, bo dotychczas wpłynęło o wiele za mało pieniędzy na tę tablicę. Wiemy, że w powiecie Tłumacz były 3 zbiorowe mordy w następujących miejscowościach:

1. **Wieś Nadorożna** (17. III. 1944r.) dzięki pisemnym relacjom proboszcza ks. Piszczóra (ZT nr 3/1996)
2. **Osada Ksawerówka** (27.03.1944 r.) dzięki relacjom dwóch braci St. i T. Pelikanom. (Drukujemy poniżej).
3. **Miasteczko Niżniów** - z ustnych przekazów wiemy, że Polacy stąd ukryli się w klasztorze SS... i zostali tam wymordowani wraz z siostrzyczkami.

W powyższej sprawie oczekujemy relacji świadków lub ich potomków.

Redakcja

Ukraińcy piszą o Ksawerówce!¹⁾

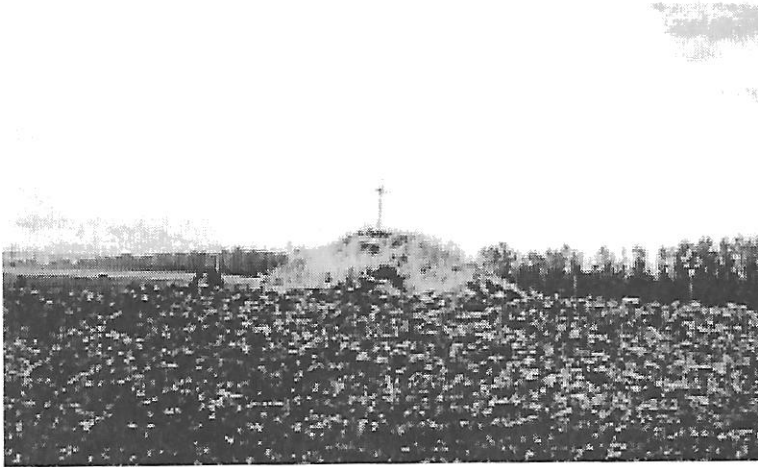
Tak się złożyło, że mój tekst w formie broszury "Tyśmienica miasto na rubieżach Rzeczypospolitej" w 2001 roku trafił do muzeum historii miasta w Tyśmienicy. W grudniu ub. roku ukazała się tam obszerna praca (ok.500 stron!) poświęcona dziejom tego miasta. Od pierwszej chwili zainteresowało mnie w jakim świetle jej autorzy ukazują wydarzenia w Ksawerówce w marcu 1944r. I oto na stronie 318 znalazłem odpowiedni fragment.

„Tragedia jaka rozegrała się w nocy 27 marca 1944r. w Ksawerówce - kolonii polskiej na obrzeżach Tyśmienicy, którą zamieszkiwali polscy osadnicy, nie była aktem zemsty miejscowej bojówki OUN - UPA. Tego nieszczęsnego wieczora przez Tyśmienicę przedzierał się z tarnopolskiego do Karpat oddział UPA, ponieważ Armia Czerwona dokonała wyłomu i dotarła do Dniestru. Koloniści posiadali oddział samoobrony, który prowadził ciągłe nocne czuwania. Wartownik dostrzegłszy nieznaną grupę ludzi oddał strzał w ich kierunku, a powstańcy odpowiedzieli ogniem. Za broń chwycili również inni Polacy, co doprowadziło do tragicznych następstw. Na skutek wybuchających granatów, serii automatów, pożarów zginęło ponad dziesięciu Polaków, w tej liczbie...”

I tu autorzy powołując się na moją broszurę wymieniają nazwiska zabitych, łącznie z listonoszem z Tłumacza i dwoma Żydami (Niemców pominieli).

Przyznaję, że w tym momencie doznałem prawdziwej satysfakcji. Oto w ukraińskiej książce, ukraińscy autorzy przyznają, że napadu dokonał oddział UPA!

Długo przyszło czekać na tak- niezwykłą szczerość, aczkolwiek nie obeszło się bez wydumania przyczyny napadu, jakby nawet jej prawdziwość mogła być jakimkolwiek usprawiedliwieniem bestialskiego mordu.



Dwa krzyże znajdują się na polach Ksawerówki. Jak dotąd nie udało mi się, ustalić z całą pewnością ich pochodzenia, prawdopodobnie pojawiły się one tam jeszcze w czasach kiedy istniała Ksawerówka. Jak by nie było jest jeszcze moim wielkim pragnieniem, aby na jednym z tych krzyży pojawiła się tabliczka ze skromnym napisem: "Mieszkańcom kolonii Ksawerówka którzy zginęli 27 marca 1944r".

Cichą nadzieję mam!

Tadeusz Pelikan

¹⁾ Mapę Ksawerówki wydrukowano na tylnej okładce.

Ucieczka z pożogi

Minęła bez echa w ZT rocznica tragedii kolonii polskiej Ksawerówka k. Tyśmienicy w powiecie tłumackim, gdzie w nocy 27 marca 1944 r. zostało zamordowanych przez banderowców kilkanaście mieszkańców dorosłych i dzieci, a także dwóch ukrywających się tam Żydów, przechodzący przez kolonię mieszkaniac Tłumacza (listonosz) i trzech niemieckich żołnierzy.

Wydarzenia te zostały opisane szczegółowo przez mojego brata Tadeusza w opracowaniu „Tyśmienica miasto na rubieżach Rzeczypospolitej” oraz artykule „Tragedia Ksawerówki”.

Chciałbym tu wspomnieć o pewnym wydarzeniu z tragedią związanym, którego autor nie rozwijał z uwagi o merytorykę tekstu. Ta tragiczna noc na kolonii, jak w potocznym określeniu nazywaliśmy Ksawerówkę, położoną na zachodnim krańcu Tyśmienicy, pozostała na trwałe w mojej pamięci. Z trwogą wsłuchiwalismy się w odgłosy strzałów z broni maszynowej i wpatrywaliśmy się w lunę ognia na horyzoncie. Tam też byli nasi bliscy! Był tam również nasz bliski kuzyn 13 letni Henryk Dulian, który poszedł w ciągu dnia do swojego wujka Franciszka Piwowarczyka.

Kuzyn ocalał cudem, siedząc z kilkoma osobami w dużej piwnicy usypanej koło zabudowań, które spłonęły. Wujek jego Franciszek, którego koniecznie chcieli dostać w swoje ręce banderowcy, uciekł ostrzeliwując się z pistoletu, jak opowiadał nam o tym do niedawna, kiedy jak co roku spotykaliśmy się. Zmarł przed dwoma laty.

W czasie ataku na kolonię przebywali na kwaterze w jednym z domów (Kotopków) żołnierze niemieccy. Trzech z nich zginęło, a jednemu w bieliźnie i boso udało się uciec na przelaj przez pola i rzekę. Biegł kilka kilometrów i trafił do jednego z domów na krańcu Tyśmienicy niedaleko stacji kolejowej.

Wczesnie rano znalazłem się na stacji u swego ojca, który był tam zawiadowcą. Sam pracowałem na pobliskiej stacji Chryplin.

W tym czasie przyszła do mojego ojca nasza, kiedyś bliska sąsiadka, Józia Zborowska. Powiadomiła ojca, że w jej domu leży jakiś wyczerpany doszczętnie Niemiec, który przybiegł w nocy w bieliźnie. Ojciec przekazał tę wiadomość wojskowemu komendantowi, który tam stacjonował z uwagą na to, że front już był bardzo blisko.

Ten polecił jednemu z żołnierzy wsiąść na motocykl, a mnie jako przewodnikowi razem z nim i pojechać do tego domu.

W domu Józii zastaliśmy leżącego w łóżku, w szarej żołnierskiej bieliźnie młodego, widać wyczerpanego, bladego mężczyznę. Był czarnowłosy, ale skronie gęsto przyprószone siwizną. Nogi miał owinięte jakimś szmatami, bo jak się okazało, całe stopy były zdarte! Biegł przecież po zamrożonej roli! Gospodyni nasmarowała je jakimś olejem i zawinęła. Naturalnie od niego dowiedzieliśmy się dlaczego tu się znalazł w takim stanie i w jaki sposób.

Wróciliśmy na stację, gdzie żołnierz złożył meldunek oficerowi, a ten wezwał samochód sanitarny aby tamtego żołnierza zabrać.

Kłęli przy tym na to co się stało „[...] die verfluchten banditen [...]” (przekleci bandyci!) my im pokażemy! Ale na tym się tylko skończyło.

Nie wiedzieliśmy jeszcze my wszyscy, wtedy jak ponura tragedia wydarzyła się na bliskiej nam kolonii.

Stanisław Pelikan

Z Tłumacza do Atlanty

Anna Bocheńska

W Pracowni Stanisława Panachidy w Atlancie USA na ścianie wisi duża mapa świata. Na niej zostały zaznaczone: trasa zsyłki do Kazachstanu, szlak bojowy z Anderssem i powojenne wędrówki naszego Tłumaczanina, brata Niusi Becheńskiej i Ziuty Skowron.

Będąc u brata w 1981 r. w Atlancie, Anna Bocheńska tę mapkę skserowała do opublikowania w ZT. (patrz str. 22, 23). Teraz załącza do niej zdjęcia brata i jego kolegów z Tłumacza, których drogi w czasie II Wojny Światowej były podobne.

Redakcja



Stanisław Panachida, ur. 4 październik 1922r. w Tłumaczu, tam też w 1939r. zdał egzamin do I klasy Licealnej Gimnazjum Państwowego.

Po wybuchu wojny 13 kwietnia 1940r. zostaje deportowany wraz z rodziną do Kazachstanu. W 1941r. wstępuje do Armii Polskiej organizowanej w ZSRR i na ochotnika zgłasza się do lotnictwa. W 1942r. opuszcza Nieludzką Ziemię i w pierwszym transporcie Polaków (zgodnie z jego wykresem) dopływa

do Anglii. W Anglii szkoli się na radiomechanika w lotnictwie. 4 czerwca 1944r. bierze udział w Akcji Normandia. Po zakończeniu wojny odpływa wraz z kolegami do Brazylii. Obecnie zamieszkuje w Atlancie w USA.



Pierwszy z prawej **St. Panachida** z kolegą **Bolesławem Maślanką**, który szedł tym samym szlakiem co nasi Tłumaczanie. On to właśnie przed podróżą do Brazylii na prośbę brata odnalazł jego rodzinę na liście Czerwonego Krzyża i zawiadomił nas po powrocie z Syberii i jego, że żyjemy. Przy spotkaniu na Okęciu po 34 latach rozłąki powiedział: „Kto by nami nie rządził i gdziekolwiek by losy nas rzuciły - żyjemy!”



Pierwszy z lewej **St. Panachida** wraz z kolegami, którzy szli tym samym szlakiem bojowym. Wszyscy oni 4 czerwca 1944r. brali udział w „Akcji Normandia”.



Przy bombowcu stoi **Stanisław Panachida**, mechanik radiowy w RAF-ie.



Tadeusz Gabański uczeń Państwowego Liceum i Gimnazjum w Tłumaczu, deportowany z rodziną 13 kwietnia 1940r. do Kazachstanu. Po wstąpieniu do Armii Generała Andersa pierwszym transportem wraz ze St. Panachidą oraz H. Białkowskim opuszczają Związek Sowiecki udając się do Anglii.

4 czerwca 1944r. brał udział w „Akcji Normandia”.

Po wojnie pozostał na Zachodzie.

Zdjęcie z wojska z dedykacją: „Drogiemu koledze Stachowi daruje Tadek Gabański”.



Wila (Waleria) Czyżycka urodzona 16 września 1919r. w Stanisławowie. Uczennica Państwowego Liceum i Gimnazjum w Tłumaczu wywieziona 13 kwietnia 1940r. z matką i rodzeństwem do Kazachstanu. Wyjechała wraz z innymi Polakami do Armii Andersa. Z bliskiego wschodu przewieziona do Anglii. Tam została wcielona do służby pomocy w RAF-ie.

Do kraju wraca jesienią 1947 roku. Osiada w Legnicy, gdzie prowadzi w Ramach Spółdzielni Pracy Fryzjerów, punkt kosmetyczny. Utrzymywała kontakt ze środowiskiem lotniczym, będąc członkiem Seniorów Lotnictwa Kombatantów w WOSL - Dęblin.

Zmarła 6 września 1985r. w Puławach.



Jedynе zdjęcie jakie zostało w rodzinie Henryka Białkowskiego. Tutaj jako uczeń szkoły Powszechnej w Tłumaczu. Zrobione podczas wakacji u wujka w Buczaczu. Henryk bawi się w wojsko.

Henryk Białkowski deportowany 13 kwietnia 1940 r. wraz z matką i siostrą Janiną do Kazachstanu. Po powrocie ojca i wujka z łagrów wstępuje do Armii Generała Andersa. Wraz z wojskiem polskim opuszcza ZSRR. Na Zachodzie szkoli się w Pułku Pancernym, jako strzelec ginie 8 sierpnia 1944r. we Francji w czołgu marki Scherman.

WYCIĄG Z LISTU SZEFA SZWADRONU „B.PRZEOR” PISANEGO DNIA 26 MAJA 1946

POSZUKIWANY figuruje w naszej ewidencji SZWADRONU:

Strzelec BIAŁKOWSKI Henryk

rocznik 1925, urodzony w Tłumaczu,

syn Franciszka i Marii z WINIARSKICH

Rzym.kat.2 klasy gimnazjum, bez zawodu.

Na wypadek śmierci powiadomić:

Anastazja WRÓŃSKA, Tłumacz, ul. Słowackiego 120

Strzelec: BIAŁKOWSKI Henryk spłonął śmiercią pancerniaka w czołgu, marki Scherman w pierwszym dniu walki pod Coon (FRANCJA) to jest 8 sierpnia 1944 roku w 2-im Szwadronie, 2-go Pułku Pancernego.

Początkowo w Rozkazie był podany jako zaginiony, ponieważ ciało lub szczątki nie zostały zidentyfikowane (odnalezione), ale ci którzy się uratowali z jego czołgu potwierdzają osobiście jeszcze dzisiaj, że on się napewno spalił doszczętnie w czołgu, czego Komisja nie potwierdziła z braku zwłok.

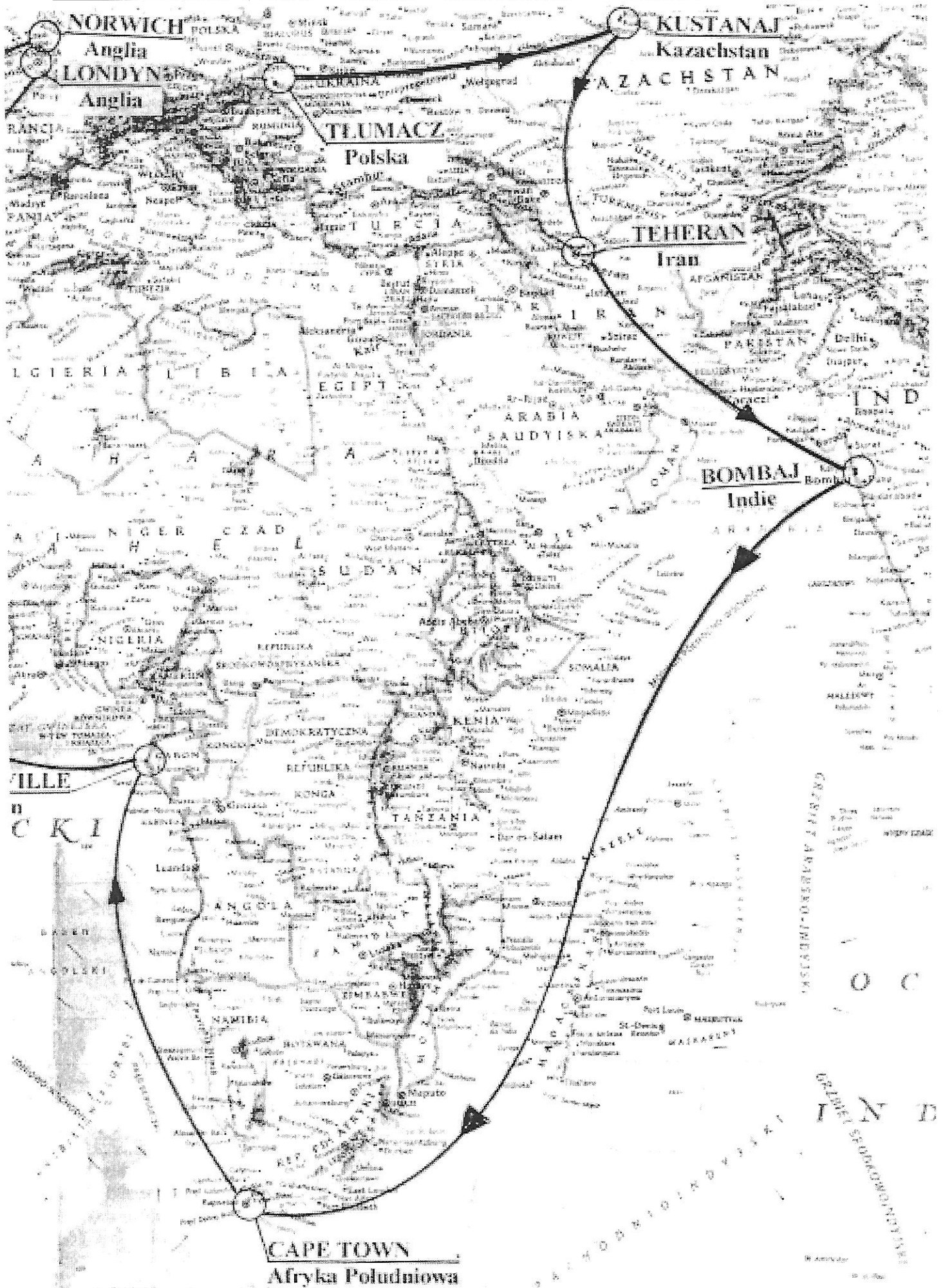
Henryka ja osobiście nie znałam, ponieważ wówczas byłem w innym Szwadronie. Dziś jest moim obowiązkiem napisać ten smutny list, jako szefa Szwadronu.

Podpis własnoręczny B. Przeor.

Od red. Jest to przedruk kserokopii z oryginału

Drogi z niewoli do wolności na pola bitewne





Ekspatriacja

Krystyna Bojczuk-Marciniak

Lwów rok 1945. Mieszkaliśmy wtedy przy ul. Skrzyńskiego 17. W tym czasie władze radzieckie wprowadziły nowe paszporty różniące się od siebie określonym czasem pobytu we Lwowie. W tym też okresie proponowano zamieszkałej tam ludności wyjazd do Polski. Trwała ekspatriacja. Przesiedlano całe wsie i miasta. Ogólnie rzecz biorąc nikt się z tym specjalnie i dobrowolnie nie spieszył. Jeszcze miano nadzieję, że Czerwona Armia opuści zajmowane obszary. Tymczasem NKWD sprawdzało dokumenty chodząc wyrywkowo po domach nocami. Sprawdzano również czy w mieszkaniu nie przebywają osoby bez zameldowania. W czasie tych nocnych odwiedzin mieszkańcy byli niejednokrotnie narażeni na kradzieże ze strony niesumiennej funkcjonariuszy. Przed wydaniem paszportów władze radzieckie proponują Tatusiowi wstąpienie do wojska radzieckiego: „*generałem budiesz - dwóch ordynansów połuczysz*” powiada jeden z Rosjan - w odpowiedzi na to Tatuś stwierdził, że jednego miał (jako przedwojenny oficer) i nie mógł sobie z nim dać rady. W efekcie otrzymaliśmy białe paszporty, które były ważne na okres trzech miesięcy. Po upływie tego czasu mieliśmy do wyboru dwa wyjścia - wyjazd do Polski bądź zsyłka w głąb Rosji.

W tych też dniach do mieszkania wujostwa Sowińskich przy ul. Mickiewicza wpadli Rosjanie celem aresztowania Wujka, któremu jednak udało się szczęśliwie zbiec drugim wyjściem, gdy usłyszał łomotanie do drzwi. Przedostał się na Łyczaków i schronił w naszym mieszkaniu. Przeżyliśmy wówczas moment grozy. Tej nocy nikt z nas nie spał, gdy raptem usłyszeliśmy dobijanie się do zamkniętej bramy wejściowej. Brama ta była stale zamykana na noc przez naszą stróżową. Ona to często chroniła nas przed niepożądanymi gośćmi. Za chwilę też dobiegł nas szcęk otwieranej bramy, kroki na podwórzu - dziedzińcu, a następnie na klatce schodowej. Wstrzymaliśmy oddechy, gdy zatrzymano się na pierwszym piętrze. Zdawaliśmy sobie sprawę, że gdyby weszli do nas i znaleźli wujka, nie było by już dla nas ratunku. Tymczasem zapukano do mieszkania sąsiadów. Zabrano kogoś stamtąd kto widocznie figurował na ich liście i wyszli, a my przez długą jeszcze chwilę nie mogliśmy uwierzyć, że i tym razem się udało. Rankiem wujek przemknął się do transportu jadącego w kierunku Krakowa. Po upływie trzech miesięcy zmuszeni byliśmy zgłosić swą gotowość do wyjazdu. Tak się jednak złożyło, że w tym czasie nie było transportu z samego Lwowa - jechały bowiem okolice. Musieliśmy poczekać. Tu przyszła z pomocą siostra ojca, u nich ukrywaliśmy się po opuszczeniu własnego mieszkania przez okres jednego miesiąca bez ważnego paszportu. W pokoiku do którego prowadzące drzwi zasłaniano na noc szafą, na której dla niepoznaki ustawiono doniczki z kwiatami.

To były długie noce wśród których rozlegały się kroki patrolujących żołnierzy NKWD. W ten sposób doczekaliśmy do dnia 25 marca 1945 r. tj. do dnia w którym kompletowano ze Lwowa kolejny transport repatriacyjny. Załadowaliśmy się do towarowych wagonów zabierając nie-

wielki ręczny bagaż. W bagażu tym udało się nam przemycić stojący zegar tzn. werk i górę. Natomiast szklany dół (szafki) figurowała już w naszych dokumentach jako gablotka lekarska na którą wraz ze stołem obitym blachą otrzymał Tatuś zezwolenie wywozu z racji swego zawodu. Stolik ten służył przy leczeniu piesków - teraz pełnił rolę legowiska do spania. I tak jechaliśmy z mieszanymi uczuciami zostawiając cały dorobek rodziców, willę „Romana” w Brzuchowicach, nie wiedząc co przyszłość - nam przyniesie.

Jadąc śpiewaliśmy z pozostałymi uczestnikami podróży piosenkę: [...] *szeregami Lwowskie dzieci idą tulać się po świecie [...]*, a jeszcze niedawno nuciliśmy inną piosenkę „*ja si zy Lwowa ni ruszym za próg ta mamciu, za skaż mnie Bóg [...]*”. Opuszczaliśmy to miasto wbrew naszej woli. To był dziwny transport, który jechał w nieznaną. Nie znaliśmy docelowej miejscowości - nie było wiadome kiedy i jak długo zatrzymamy się na poszczególnych postojach, nikogo też nie obchodziło czy mamy żywność na drogę. W czasie jazdy wyłoniliśmy spośród pasażerów straż, która miała niedopuszczyć do okradania nas przez pijanych żołnierzy radzieckich na postojach, gdyż tego rodzaju wypadki miały miejsce. Niejednokrotnie też w czasie jazdy robiono składkę na alkohol dla tych żołnierzy, wówczas nie napastowano naszego wagonu i nasze mamy oddychały spokojnie nie drżąc o swoje panny. A ponieważ młodość potrafi wszędzie znaleźć dobre strony to też korzystając z chwilowego postoju wyskakiwaliśmy z pociągu z uśmiechem pędząc pod pompę by umyć się pod strumieniem zimnej wody. Po drodze też trafialiśmy na kopce z ziemniakami. Ziemniaki te zdobywaliśmy narażając się na strzały kręcących się żołnierzy radzieckich. Równocześnie należało się pilnie rozglądać czy pociąg nie rusza w dalszą drogę, bądź czy nie podłączają go do innego składu. Te ziemniaki bardzo się nam przydawały - jechaliśmy bowiem cały miesiąc. W wagonie znajdował się piecyk na którym nasze mamy gotowały zdobyte ziemniaki, które następnie wspólnie zjadano.

Wreszcie dłuższy postój, jak się okazało zmiana podwozi z szerokich torów przechodzimy na normalne. Nowa granica Polski - Przemyśl Rzeszów i zatrzymujemy się na stacji w Krakowie. Na peronie spostrzegamy spacerujące osoby w tym ładnie ubrane panie, które zaglądając do naszych wagonów „czy państwo z Rosji”. Poczuliśmy ogromną odrazę do tych damulek ciekawskich, po których nie było widać śladu wojny i którym nie przyszło do głowy by przynieść odrobinę mleka dla małych dzieci jadących w sąsiednich wagonach.

Część osób, które tu w Krakowie miały rodziny bądź znajomych wysiadła - byli też tacy, którzy podjęli decyzję w ostatniej chwili, gdy pociąg już ruszał - wysiadali, a pozostali wyrzucali im w biegu pozostawione bagaże. Ruszyliśmy w dalszą drogę.

Tym razem zatrzymaliśmy się w Gliwicach. Trwała jeszcze wojna. Byliśmy podobno 5 km od frontu, słysząc było strzały. Zaproponowano nam osiedlenie się tutaj. Mama nie chciała się jednak zdecydować - nie było tu jeszcze spokojnie zdarzały się wypadki strzelaniny ze strony niedobitków niemieckich. Polaków było jeszcze niewielu, kręcił się tu też nieciekawy element tzw. szabrownicy buszujący wśród opuszczonego mienia poniemieckiego. Mama nie miała chęci narażania nas na ewentual-

ne niebezpieczeństwo teraz gdy szczęśliwym trafem przeżyliśmy te wojenne lata. Pojechaliśmy dalej podłączani do różnych składów pociągów jako puste wagony by na koniec zatrzymać się w Bydgoszczy. Na stacji kręcili się kolejarze. Jeden z nich zaproponował mnie i Mamie nocleg u swojej rodziny. Po miesiącu jazdy pierwszy raz mogliśmy się umyć i usnąć w normalnym łóżku.

Następnie rejestracja w PURZE (biuro repatriacyjne) szukanie mieszkania, pracy. My z bratem ruszyliśmy do zdawania egzaminów by kontynuować przerwana naukę. Zatrzymaliśmy się w opuszczonym mieszkaniu na

1-szym piętrze vis a vis hotelu pod „Orłem” nie trwało to jednak długo bowiem po nas do mieszkania weszło paru żołnierzy radzieckich, nie mogliśmy się od ich odseparować, drzwi bowiem miały klamki powyrywane klamki i zamki. Tatuś nie chciał ryzykować i zostawiać nas samych. Pojechaliśmy razem do Koronowa pod Bydgoszczą. Tu zastał nas koniec wojny. Siedzieliśmy na paczce stanowiącej nasze gospodarstwo, gdy weszła sąsiadka częstując nas herbatą był 9 maj 1945 r. Zaczynaliśmy nowy etap życia.

Tyśmieniccy zakładnicy

Stanisław Pelikan

Porządkując kiedyś stare dokumenty trafiłem na zaświadczenie w języku niemieckim wydane mojemu ojcu w dniu 19.04.1944 r., które opiewało, że „niemiecki zawiadowca stacji Tyśmienica Pelikan Aleksander zgłosił się dziś do służby i został zatrudniony w służbie kolejowej”. Podpisał je nadinspektor Oddziału Stanisławów Kolei Wschodnich.

Zaświadczenie wydane w tym dniu jest związane z bardzo charakterystycznymi i dramatycznymi wydarzeniami. Otóż: w dniu 1.04.1944 r. oddziały Radzieckie zostały wyparte przez niemieckie wojska z Tyśmienicy, którą te pierwsze zajęły 29.03.1944 r. Następnie do dnia 6.04 trwały walki na przedpolach Stanisławowa między innymi o Chryplin (stacja kolejowa węzłowa). Tegoż dnia wojska radzieckie zostały odrzucone poza Tyśmienicę i Podhajce. Po podejściu wojsk radzieckich do Stanisławowa, Niemcy w dniu 17.04 przeszli do kontrataku i zmusili ich do odwrotu, odrzucając poza Dniestr.

W tym gorącym okresie w związku z wkroczeniem wojsk radzieckich na teren województwa Stanisławowskiego, podjęto w pierwszych miesiącach 1944 r. prace organizacyjne nad ewakuacją administracji niemieckiej i ludności cywilnej z rejonu dystryktu. W miesiącu kwietniu po początkowej panice, władze niemieckie wróciły do Stanisławowa mocno zdekompletowane, ale rządy w mieście objął wtedy Wehrmacht. Od 18.03.44 r. trwały intensywne prace fortyfikacyjne.

W dniu 17.04.1944 r. rozporządzeniem niemieckiej Feldkomendantury został wprowadzony przymus pracy publicznej dla wszystkich mężczyzn w wieku 16-60 lat.

W tym czasie w naszym domu przebywały rodziny pp.Lachmanów (4 osoby), Boryniaków (3 osoby), no i naturalnie rodzina nasza składająca się z 6 osób. Wszyscy my, mężczyźni byliśmy kolejarzami Kolei Wschodnich. Lachman - dyżurny ruchu, Boryniak - zwrotniczy, ojciec - Pelikan zawiadowca stacji. Wszyscy troje zatrudnieni byli na stacji Tyśmienica. Ja natomiast na stacji Chryplin jako pracownik biura wagonowego. W okresie walk frontowych naturalnie nie pracowaliśmy. Prawdopodobnie w dniu, w którym wydane zostało rozporządzenie o przymusie pracy publicznej, bądź na dzień następny, wcześniej rano kiedy jeszcze spaliliśmy, wpadli niemieccy

żołnierze z bronią w rękę do mieszkania, polecając wszystkim mężczyznom wychodzić. Ponieważ żołnierz zobaczył nas wszystkich w mundurach kolejowych, zaskoczony zwrócił się do stojącego na podwórzu oficera, czy też podoficera mówiąc: „hier sind alle Eisenbahner !” (tu są wszyscy kolejarze). Usłyszeliśmy tylko ostre „alle raus!”. Ten wykonując rozkaz polecił nam wszystkim wyjść, a nawet kazał wyjść mojemu bratu Romanowi, który zaczął płakać (miał wówczas 14 lat) Machnął więc ręką i wyszliśmy. Najmłodszy brat Tadeusz miał wówczas 13 lat.

Na naszej ulicy stała już w szeregu gromada mężczyzn. Jak się później okazało, działa się to na wielu ulicach, bo gdy spędzono nas poza miasto obok byłej gorzelni stwierdziłem, że jest nas mnóstwo. Spotkałem tu również niektórych moich kolegów. Ustawiono nas w dwuszeregu i oświadczone, że w związku z zamordowaniem niemieckiego oficera, wszystkich mężczyzn od 16 do 60 lat zabierają do obozu w Stanisławowie. Ile było wówczas w tym prawdy co do tego oficera, nie wiem. W tym czasie z szeregu wystąpił mój ojciec, który znał doskonale język niemiecki i zwrócił się do oficera mówiąc (jak się później okazało), że jest niemieckim zawiadowcą stacji kolejowej Tyśmienica i ciąży na nim obowiązek opieki nad stacją w związku z cofnięciem się frontu. Wyczułem, że robi wszystko aby pozostać i wyciągnąć nas w jakiś sposób z tego obiecane nam obozu. Naturalnie oficer zezwolił mu odejść. Szliśmy piechotą do Stanisławowa, pod konwojem żołnierzy niemieckich. Każdy z nas snuł rozmaite perspektywy wydarzeń. Niekiedy bardzo czarne!

Nad nami z gwizdem i szumem przelatywały pociągi artyleryjskie z kierunku Stanisławowa, do celów gdzieś daleko poza nami w kierunku frontu. Starsi i doświadczeni, którzy odsłużyli wojsko informowali, że jeśli pocisk gwizdzie to dobrze bo spadnie gdzieś daleko, gorzej gdy gwizd pocisków! W Stanisławowie umieszczono nas w koszarach byłego 48 pułku piechoty strzelców kresowych, w których przebywał kiedyś mój ojciec w czasie odbywania służby wojskowej. Koszary te znajdowały się przy ul.Trzeciego Maja i Koszarowej. Budynek był mi znany, gdyż wielokrotnie przechodziłem obok idąc do gimnazjum lub wracając, a także z wielu zdjęć ojca.

Koszary były teraz puste bo jednostki niemieckie tam stacjonujące były na froncie. Niedalekim zresztą. Rozlokowaliśmy się gdzie kto mógł po salach, szukając sienników, na których można by się przespać. Były takie

sienniki wypchane wiórami! Poszukiwaliśmy też jakichś pustych puszek po konserwach czy innych naczyń, gdyż obiecano nam jedzenie. Myśliśmy znalezione puszeki gdzieś na dziedzińcu koszar, pod studnią. Przyniesiono Jakąś lurę zwaną zupą, chyba z końskim rozgotowanym mięsem. Była też czarna gorzka kawa. Tak było przez parę dni.

Brano nas do różnych robót, naturalnie pod konwojem. Pamiętam, że w jednym dniu nosiłem rannych żołnierzy (także radzieckich) w jakimś szpitalu. Potem w kuchni szpitala udało mi się zjeść smaczną grochówkę, którą litościwie kucharki mnie uraczyły.

Pamiętny był dzień, kiedy wywołano nas kilkoro z Szeregu, wskazując ręką. Zawsze rano był apel na dziedzińcu koszar. Był między nami mój wujek Ludwik Dulian, też kolejarz, którego zabrano z sąsiadującego z nami domu. Był też jeden z moich kolegów. Prowadził nas jeden żołnierz. Szliśmy ulicą Trzeciego Maja do Sapieżyńskiej i dalej tą ulicą w kierunku wschodnim tj. osiedla Majzle. Skręciliśmy jednak w Prawo w ulicę Żeligowskiego i zorientowaliśmy się, że jesteśmy koło kościoła ewangelickiego, gdzie obok był cmentarz. Żołnierz nakazał nam iść w tym kierunku. Weszliśmy na dziedziniec koło kościoła, skąd obok wyszedł jakiś podoficer. Poleciał nam żeby każdy z nas wziął łopatę, które stały obok. Przeszły mi ciarki po plecach i każdy z nas spojrział jeden na drugiego. Chyba, każdemu przemknęła myśl, że „rozwalą” nas, ale Przedtem wykopiemy sobie dół. Poprowadzono nas na cmentarz. Zatrzymano przy długim wykopanym dole, dość głębokim, który częściowo był już zasypany. W duchu chyba modliłem się, bo ścisnąłem kurczowe w kieszeni różaniec, który mi wcisnęła w rękę moja babcia kiedy stałem w szeregu na ulicy, po zabranii z domu. Kazano nam poczekać! Po chwili przyjechał samochód wojskowy, z którego wysiedli żołnierze niemieccy z karabinami. Chyba każdy z nas pomyślał „pluton egzekucyj-

ny”! Bo ja tak! Po chwili jednak z samochodu wyniesiono trumnę i postawiono koło dołu. Jakiś oficer położył bukietik pierwiosnków na trumnie i przemówił. Z tego co zrozumiałem, to podkreślał odwagę zmarłego, który niedawno zginął w walce, który był mu wiernym przyjacielem. Pierwiosnki to kwiaty, które bardzo lubię! Po chwili nasz „pluton egzekucyjny” ustawiony w szeregu oddał salwę honorową. Teraz zrozumieliśmy, że jesteśmy tutaj w roli grabarzy! Odetchnęliśmy z ulgą. Za chwilę przyjechał znów samochód, z którego wyniesiono kilka trumien, a wynosili je jeńcy radzieccy. Chowaliśmy je w tym dole po trzy jedna na drugiej i zasypywali. Odbyło się to już bez salw honorowych. No cóż, byli to już prości żołnierze.

Zdarzył się w tym czasie ciekawy incydent. Jeńcy radzieccy w jednej z trumien złożyli swego towarzysza broni, który zmarł w szpitalu. W jaki sposób dostrzegł to „naczelnym grabarzem (ten podoficer) nie wiadomo. Może coś wystawało spod wieka trumny? W każdym razie awantura była straszna, pieklił się, groził, wymachiwał pistoletem. Zapamiętałem jego słowa „was mit dem deutschen Soldaten?!” (co, z niemieckimi żołnierzami? W końcu polecił nam wykopać dół pod murem, obok krzaka jaśminu i tam pochowaliśmy go. Pomyślałem sobie wówczas - tamten miał pierwiosnki, a ten ma cały krzak jaśminu.

Nie pamiętam ile dni byłem w tym „obozie”. Chyba tydzień. Pewnego popołudnia zjawił się nieoczekiwanie mój ojciec z matką i w oparciu o posiadany dokument zwolniono nas kolejarzy, a więc Lachmana, Boryniaka, wujka Duliana i mnie. Uruchamiano stacje, a więc byli potrzebni pracownicy, tak uzasadniał to ojciec załatwiający to zwolnienie.

To zaświadczenie wydane w dniu 19.04.1944r. mojemu ojcu, było wstępem do dalszych jego działań w kierunku uwolnienia nas.

Pieszko wróciliśmy wszyscy do Tyśmienicy już przed wieczorem.

Z życia Tłumaczan

Św. Anna w Siedlakowicach i Tłumaczu

Danuta Tabińska-Juhasz

Do podwrocławskich Siedlakowic, gdzie rokrocznie w ostatnią niedzielę lipca Tłumaczanie pielgrzymują do swej patronki i tym razem mimo upałów, przybyło ponad 20 osób. Kościółek był odświętnie przybrany kwiatami to zasługa miejscowych parafian. Przed wejściem ustawiono gablotkę ze zdjęciami obrazującymi historię kościoła, w tym naszego obrazu Św. Anny Samotrzeciej z głównego ołtarza zburzonego w latach 70-tych kościoła w Tłumaczu. Po rozpoczęciu mszy św. celebrowanej przez 3 księży, stwierdziliśmy korzystne zmiany: odezwały się bowiem organy, a chór młodzieżowy pięknie zaśpiewał. Po raz pierwszy usłyszeliśmy pieśń o Św. Annie:

Ucieszyło nas również serdeczne powitanie tłumac-

kich pielgrzymów przez proboszcza ks. St. Kuliga.

Z uwagą też wysłuchaliśmy homilii, z której dowiedzieliśmy się, że Św. Anna jest w Polsce najpopularniejszą patronką. Pod jej wezwaniem jest aż 184 kościołów z najświetniejszymi w Warszawie i Krakowie, a Góra Św. Anny obchodziła swoje 500-lecie.

Św. Anna i jej mąż Św. Joachim stanowili nieskazitelne małżeństwo, które wydało na świat Matkę Boga, Królową Aniołów. Są oni wzorem dla wszystkich małżeństw oraz są patronami babć i dziadków. Pod wpływem słów tego kazania, wpatrując się w dobrze mi przecież znany obraz, dostrzegłam poraż pierwszy zawartą w nim symboliką, w postaci otwartej książki w rękach Św. Anny.

Uwaga więc wszystkie babcie! Musi nas cechować nie tylko miłość, ale też mądrość!

Odpust jak zawsze zakończył się poczęstunkiem w gościnnym domu p. Kłapkowskich przy pysznych wypiekach i chłodzących napojach, (męczył nas straszliwy upał). Wśród kilkunastu osób były 3 seniorki: pani domu, p. Panek i p. Hipyszowa z córkami i wnuczkami. Było rodzeństwo Lanerów Marysia i Czesio, Maryla Grabowiecka Dostał z córką, Ania Pana-

chida-Bocheńska oraz autorka. Czas upływał szybko na wspomnieniach z dawno minionych lat.

Opis tegorocznych uroczystości odpustowych ku czci Św. Anny patronki Tłumacza, chciałabym połączyć z opisem wrażeń z pobytu w tłumackiej kapliczce cmentarnej, też pw. Św. Anny.

W tej kaplicy, w ostatnią niedzielę czerwca b.r. uczestniczyłam we mszy św. odprawianej w obrządku rzymsko-katolickim w języku ukraińskim. Tylko modlitwę Ojciec Nasz odmówioną po polsku. Do tej pięknie odnowionej kaplicy przyjeżdża w każdą niedzielę ks. Stanisław, młody proboszcz z Obertyna by odprawiać mszę św.

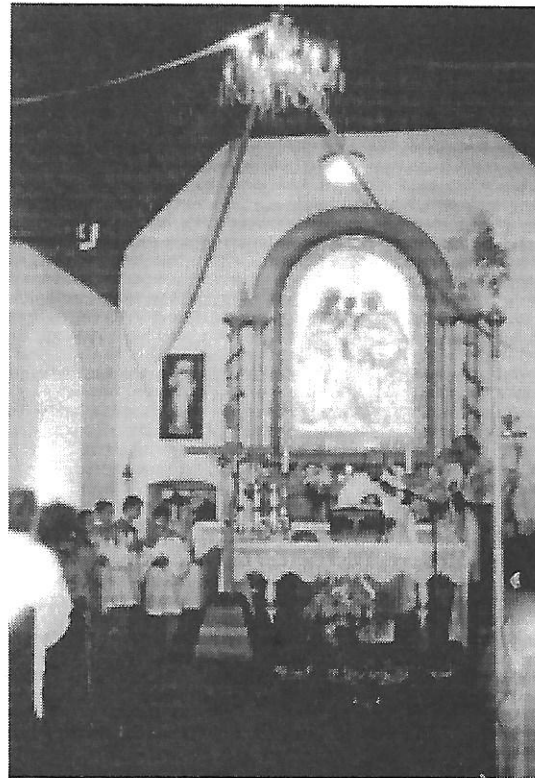
Do parafii rzym-kat wpisało się 40 osób pochodzenia polskiego i jedna rodzina węgierska. Z uwagi na znaczną odległość cmentarza od centrum miasta, wierznych na mszy bywało, zaledwie kilkanaście osób, tych najbliższej mieszkających.

Ksiądz Stanisław optymistycznie uważa, że uda się w przyszłości wybudować w centrum Tłumacza kościółek i wiernych przybędzie.

Zwraca się on do byłych mieszkańców Tłumacza



Obraz Św. Anny w kościele w Tłumaczu przed wojną



Obraz Św. Anny w kościele w Siedlakowicach obecnie

o ufundowanie kopii obrazu Św. Anny z głównego ołtarza naszego kościoła. Obiecałam mu zająć się tą sprawą i apeluję z tego miejsca do Tłumaczan; może ktoś ma takie możliwości żeby z fotografii namalować kopię obrazu, Zarząd postara się go przekazać do parafii tłumackiej.

Jesteśmy to winni naszemu miastu!

W Tłumaczu byłam zaledwie dwie godziny. Wycieczkę na Kresy zorganizowali Waliszowianie z powiatu Bystrzyca Kłodzka do swej wsi Tarnowica Polna w powiecie tłumackim.

Pierwsza wycieczka z Polski w tłumackiej kapliczce zrobiła duże wrażenie, tym bardziej, że Waliszowianie w swoich dawnych ludowych strojach pięknie śpiewali Maryjne pieśni.

Po mszy św. i występach chóru pojechaliśmy wszyscy na obiad do baru na stadionie (za targowicą), prowadzonego przez Węgra (jego żona opiekuje się kaplicą).

Po zjedzeniu zupy gulaszowej i potrawy zwanej płow (ryż z mięsem), po wypiciu dobrego beczkowego piwa, pospieszyliśmy na odpust Piotra i Pawła do Obertyna. Parafianie żegnali nas ze łzami zapraszając do ponownego przyjazdu do Tłumacza. Przyjedziemy !!!

Historia naszego obrazu i Świątynii w Siedlakowicach

Jerzy Czyżycki

Przeglądając dawną dokumentację Klubu Tłumacz, znalazłem z przed wielu lat relację Pani Weroniki Kłapkowskiej. Nie była ona publikowana, gdyż w tym czasie jeszcze nie wydawaliśmy Zeszytów Tłumackich.

Czytelnicy Zeszytów zapewne pamiętają, że Pani Weronika to obecna mieszkanka Siedlakowic, miejscowości w której znalazła się też „nasza” św. Anna. Więc nale-

ży przypomnieć jak to było.

Pani Weronika pisze: Był 1945 rok 12 sierpień. Musieliśmy opuścić Małopolskę i nasz Tłumacz. W Stanisławowie, na stacji do wagonów towarowych załadowaliśmy to cośmy mieli. Było nas 8 rodzin 1) Kłapkowski 2) Szmyd 3) Jaśkiewicz 4) Dyląg 5) Rawluk 6) Szankieniuk 7) Mazurek 8) Mazurek.

Ich już nie ma, odeszli do wieczności. Zostały ich dzieci, które już mają ponad 50 lat. Ks. Piszczor był już w wagonie z kościelnymi obrazami z nim też państwo Bodniakowie i siostry zakonne. Z nimi jechały też dzieci Jaśkiewiczów z Jackówki. Ojca wywieziono do Niemiec, a matkę zamordowali Ukraińcy. Wtedy na Jackówce zamordowali 5 osób. Zostało troje dzieci, najstarsze miało chyba 10 lat. Te dzieci siostry zabrały ze sobą do Wierzbic.

15 sierpnia dojechaliśmy do Opoli. Nasi ludzie z Tłumacza, poszli z ziołami do kościoła, bo to dzień Wniebowzięcia N.M.P. Odrazu zrobiło się nam weselej. Ks. nas pocieszał, że za dwa miesiące wrócimy do domu. 17 sierpnia wyładowali nas w Brochowie pod Wrocławiem a 18 raniutko przyjechali parafianie z Gniechowic i zabrali księdza z obrazami. Ksiądz nam mówił: ...idźcie za mną, bo parafianie są tam gdzie i ja. My szliśmy za św. Anną cudami słynącą a świadczyły o tym dwie gabloty pełne wotów, wiszące dawniej po obu stronach obrazu. Ja pamiętam jak starsi opowiadali, że nigdy nie było w Tłumaczu wroga na odpust. Przez 4 lata w czasie I Wojny Światowej ludzie modlili się i śpiewali:

*„Boże Ojczy Twoje dzieci, płaczą żebrzą lepszej doli.
Rok po roku marnie leci, my w niewoli, my w niewoli”.*

W drugą wojnę światową przez 6 lat, też na odpust nigdy nie było wroga. W Tłumaczu wówczas śpiewali „Boże coś Polskę”

My osiedliliśmy się w Siedlakowicach. Siostry zakonne i państwo Bodniakowie w Wierzbicach. Tam były dzieci niepełnosprawne, trzeba było się nimi opiekować.

W 1946 roku ks. Piszczor przewiózł obrazy do Kątów Wrocławskich do kościoła pw. Piotra i Pawła. Chyba nie było tego obrazu, którym zasłaniany obraz św. Anny w Tłumaczu. W Kątach w prezbiterium po prawej stronie ks. Piszczor umieścił obraz św. Anny.

W 1947 roku do Siedlakowic przyjechali Górale. Chodziliśmy do kościoła do Gniechowic, bo księży nie było. Był jeden na Gniechowice i Zachowice. W 1954 roku nasi posiali wspólny rzepak, ugorów wtedy było dużo. Mieli zamiar odremontować kaplicę z 1730 r. pod wezwaniem Matki Bożej Bolesnej. Kaplica była bardzo zniszczona. Ktoś zameldował, ale kto nie wiadomo a to był już 1955 rok. Przyjechali bardzo rano i spychem chcieli zburzyć kaplicę do fundamentów. Im chodziło też o dzwon z wie-

życzki kaplicy. Zbiegli się ludzie i nie pozwolili na to. Dzwon zdjęli i schowali do piwnicy u Kanduta. Zameldowali na Milicję że dzwon ktoś ukradł. Przyjechała Milicja ale niczego nie znaleźli, dali nakaz rozebrać kaplicę. Architekt doradził, żeby kaplicę zabezpieczyć to wtedy nic nam nie zrobią. W jednym dniu parafianie zabezpieczyli dach, okna pozabijali deskami, stropy podparli, chociaż nie było potrzeby. Ludzi ciągnęli na Milicję i do Gminy. Skończyło się to zwolnieniem architekta z pracy a ludziom dali kary po 2.000, 1500, 1200 zł. Wtedy to było bardzo dużo. Na tym ta historia się skończyła. W 1956 roku jak objął rząd Gomółka dali spokój. Ludzie wzięli się do odbudowy. Nie było niczego i nikt nam nie pomógł, wszyscy się bali. Ks. Zmora (już była parafia w Zachowicach) prosił, że nie chce o niczym wiedzieć. Proboszczem w Zachowicach został ks. Zajkowski. Dopiero On zajął się wszystkim. Po wielu zabiegach z poparciem ks. Tuzinkiewicza mogliśmy przywieźć obrazy św. Anny oraz M.B.N.P. W drugi dzień Zielonych Świąt 1957 roku poświęcono kościółek z obrazem św. Anny w głównym ołtarzu. Uroczystość prowadził i poświęcenia dokonał ks. Kurzak z Sobótki w asyście 7 kapłanów, przy dźwiękach uratowanego przed kradzieżą dzwonu. W 1970 roku wbudowano Tabernakulum. Odpust który obchodzono 26 lipca zaprzestano obchodzić za ks. Szlarskiego i nikt od 1971 roku o tym już nie wspominał. W 1985 kaplica została powiększona przez dobudowanie do niej drugiego członu. W tym też roku, nastąpiło poświęcenie nowego powiększonego, naszego kościółka przez J.E. kardynała Henryka ks. Gulbinowicza. Tyle relacji Pani Weroniki

Muszę dodać a raczej dopisać dla przypomnienia, dalszy ciąg w wielkim skrócie. Dzięki ofiarności Tłumaczan i dotacji J.E. kardynała, przeprowadzono renowację obrazu św. Anny Samotrzeciej. Obecni parafianie wzbogacili kościółek wieloma elementami wyposażenia. Przede wszystkim obraz, dotąd poprostu stojący na podwyższeniu, uzyskał oprawę taką, jaka mu przystoi. Od 31 lipca 1994 roku po poświęceniu obrazu, dotychczasową nazwę kościółka pw. Matki Boskiej Bolesnej, J.E. kardynał poszerzył o św. Annę. a ostatnia niedziela lipca jest dniem odpustowym dla tamtejszych parafian Siedlakowic i Mirosławic ale też już coraz mniej licznie ale jednak biorących w nim udział, wierni św. Annie dawni parafianie z Tłumacza.

Wypad w wspomnienia młodości

Jerzy Czyżycki

Jeszcze na naszych tłumackich wczasach w Kołobrzegu rozmawialiśmy z Jasiem Ślęzakim, by pojechać tam, do nas, do naszej młodości. I we wrześniu pojechaliśmy. Pociągami do Przemyśla i po nocnej - śpiąc a ścisłej drzemiąc - podróży, rano byliśmy w grodzie nad Saniem. Kupiliśmy bilety na autobus do Iwano Frankowska i już po południu byliśmy w mieście Rewery. Zakwaterowaliśmy się u ks. Halimurki i idziemy na krótki spacer do

miasta. Nazajutrz jedziemy do Tłumacza. Po drodze zatrzymaliśmy się w Tyśmienicy. Tu chodziłem do 7 klasy. Szkoła stoi jak dawniej tyle, że rozbudowana. Zdjęcie i jedziemy dalej. Już rogatki Tłumacza. Po drodze fotografuję dom Władzia Geruły, (prosił mnie o to) i hajda w „swoje” stare kąty, Lipową, czy też Pierackiego. Nie mogę zapamiętać, jak właściwie nazywała się ta moja ulica. Chodzimy z Jasiem, ja mu pokazuję dom w którym mieszkałem, obok zaglądam na posesję Niuska Johnsa i w głębi widzę, niestety już dobiegającą swego kresu, chałupkę. Robię jej zdjęcie - niech Niusiek ma z tego pobytu też pamiątkę, bo on jak wiem, już tu raczej nie przyjedzie. Idziemy dalej. Jasio szuka „swojej” chałupy. Długo się do niej przymierza, porównuje, zastanawia, by wreszcie z

całą stanowczością oświadczyć: To tu, to TA! Naturalnie muszę go uwiecznić na tle „jego” domu, który jakby zawstydzony, kryje się (jak to na zdjęciu widać) w gąszczu krzewów.



Przy okazji dowiaduję się, że Jasio urodził się w 1934 roku. Ojciec trudnił się przewozem towarów. Posiadał konie. W 1945 roku wyjechali do Stanisławowa i zamieszkali na Majzlach w tej ich części, która była blisko rzeki Bystrzycy.

Po spenetrowaniu swoich „kątów”, czas zobaczyć Tłumacz. Dochodzimy od Nadorożnej do Słowackiego i po prawej stronie na skraju parku widzimy nową cerkiew prawosławną. Na wprost głównego wejścia do parku, w głębi, pomnik poświęcony poległym na wojnie. Wzniesiono go jeszcze w czasach władzy radzieckiej, teraz „zmodernizowano” w duchu samostijnej.

Obok domu Makucha, przed zakrętem ulicy, inny, bardziej okazały, poświęcony „bohaterom” UPA.

Po przekątnej w kierunku dawnej ul. Kościelnej druga cerkiew, bardziej okazała. To świątynia grekokatolików Ciąg domów w kierunku na Horodenkę odnowiony. Miasteczko, trzeba podkreślić zadbane i czyste..Na cmentarzu odnowiona skromna kapliczka zastępuje, z konieczności, kościół katolicki. W drodze powrotnej zaglądamy jeszcze na Koliniecką. Tu niewiele się zmieniło.

Już po południu, więc rozglądamy się za jakąś jadłodajnią. Znajdujemy i posiliwszy się w schludnej restauracji, kończymy pobyt w naszym mieście. Zatrzymujemy się jednak w okolicach dawnego stawu, dziś ładnie utrzymanego zbiornika wodnego. Na jego wale robimy tym razem ostatnie w Tłumaczu, zdjęcie i wracamy do Stanisławowa.

Nazajutrz krótki wypad do Kałusza. Tam chciałem odnaleźć dom, w którym mieszkaliśmy przed wyjazdem w 1933 roku do Stanisławowa. Odnalazłem go, ale musiałem się nagłowić, jak tam trafić. Tu mieszkałem przed 70 laty. Niegdyś, wzdłuż drogi płynęła rzeka zwana Młynówką, po której pływałem łódką. Teraz jest zarośnięty rów, w którym wodę trzeba wypatrywać. Czy to dawna rzeka? Zmieniła się topografia terenu, ale gdzieś tam w zakamarkach pamięci zostały strzępy obrazu sprzed laty. Za domem, w którym mieszkaliśmy wówczas, rzeka skręcała przecinając drogę i był most. Jeżeli ten rów, biegnie wzdłuż drogi i skręci w lewo, będzie most - jak pamiętam - to znaczy, że to dawna rzeka. Pojechaliliśmy wzdłuż rowu i jak Juliusz Cezar mogłem wykrzyknąć. . veni, vidi, vici. I

jeszcze zdjęcie na pamiątkę - kto wie czy nie ostatnie...



Jadąc przez Kałusz, nie mogłem pominąć dawnych kątów. Obecny nowy Kałusz rozbudował się na północ od starego. Na chwilę zatrzymujemy się przy kościele, dawnym Domu Sokoła. Ze smutkiem dostrzegłem, że piętro spłonęło. Musiało to być niedawno, budynek, obecnie Centrum Kultury, zieje oczodołami osmalonych okien. Zamknięty na dużą kłódkę, czeka na remont. Po wschodniej stronie miasta daleko w dole widać, obiekty kopalni soli potasowych z dominującym nad nimi kominem. Szkoła, poczta - nie zmieniły się. Mijamy dawną willę Felczyńskich, właścicieli odlewni dzwonów (obecnie w Przemyślu), i jeszcze jeden dom w którym też mieszkaliśmy. Stąd z góry przez rzekę Łomnicę - w niej się niegdyś kąpałem - i żegnajcie wspomnienia młodości.

Rozkleiłem się, przepraszam Was Drodzy Czytelniczy, ale powiedzcie, czy można o tak sobie napisać - nie wzruszając się - to co zostało w pamięci, pomimo upływu tylu lat? Ja nie potrafię. Tu mała dygresja. Nasz przewoźnik, posiadacz auta, dorabiający, lub żyjący w taki sposób, ciągle dopytywał się, czego my szukamy. Podobnie jak niektórzy rodacy w Polsce widział w nas dawnych właścicieli, którzy chyba przyjechali po to, żeby odebrać swoje. W czasie kiedy ja poszukiwałem domu w którym mieszkałem i nie tylko wtedy, rozmawiał z Jasiem na ten temat. Jasio mi o tym powiedział. Zapytałem więc tubylca: - Słuchaj, gdzie ty się urodziłeś? Odpowiedział w Horodence. Gdzie mieszkasz? W Iwano Frankowsku. A masz tam rodzinę, odwiedzasz ją, dlaczego? No bo to moje strony. Widzisz, ja się tu urodziłem, tu mieszkałem, nie byłem ponad pół wieku i na starość, chcę jeszcze to wszystko zobaczyć. Zrozumiał.

Wracamy do Stanisławowa i robimy dłuższy obchód. Sapieżyńska, odremontowana prawie w całości, pięknie się prezentuje. Fasady domów przy Gołuchowskiego, Lipowej, Sobieskiego i innych ulic w centrum miasta, poddawane gruntownej renowacji, uzyskują swoją dawną krasę. Jasio mówi: - dopiero teraz widzę jaki ten Stanisławów, był pięknym miastem. Tak na marginesie tego stwierdzenia - jak mieszkali, zresztą krótko na Majzlach, to po Stanisławowie raczej nie wędrował - nic w tym dziwnego, że dopiero teraz zobaczył piękno tego miasta...

Przy ul. Gołuchowskiego stoi dom zasłonięty rusztowaniami tu dawno, bo jeszcze na początku ubiegłego

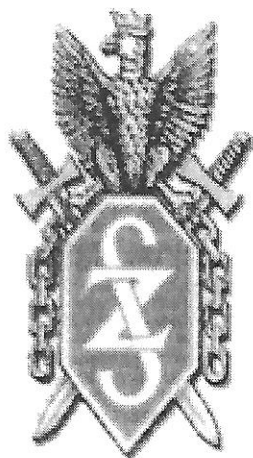
wieku, mieszkali moi dziadkowie. Wędrujemy dalej podziwiając piękno stanisławowskich secesyjnych kamieniczek. Przy ul. Gillera dawny kościółek parafialny mojej mamy-dzisiaj zbór Kościoła Adwentystów. Dochodzimy do Lipowej - tu na rogu budynek, w którym mieściła się moja szkoła powszechna im. T. Czackiego, do której uczęszczałem. Obecnie jest tu szkoła muzyczna. Wracamy do centrum i kierujemy się w stronę Jasia Majzli. Po drodze wstępujemy na dawny cmentarz przy Sapieżyńskiej. Tam mu pokazuję prawdopodobne miejsce pochówku mego dziadka i idziemy na dawną ul. gen. Żeligowskiego, dzisiaj też gen. Tyle, że Bandery. Tu pozuję do zdjęcia na tle domu, w którym mieszkaliśmy i idziemy na Majzle. Po drodze szkoła, do której w czasie przejściowego pobytu w Stanisławowie Jasio chodził, kościółek, jeszcze „kilka” kroków i most. Pod nim Bystrzyca. Niegdyś za czasów naszej młodości, potężna, budząca respekt, wartko płynąca rzeka. Dziś jej namiastka. Płyne kilkoma nurtami ledwie sącząc swe niegdyś „wielkie” wody. Chwila zadumy, wspomnień i czas wracać. Zabolaly niestety nogi. Korzystamy z miejskiego transportu i nim docieramy do dworca. Ten się nie zmienił. Jest taki jaki był. Piękny, dumnie stojący, jakby drwił z wszystkich niejednokrotnie zmieniających się „gospodarzy”.

Kupujemy na jutro bilety, by pociągiem wrócić do Przemyśla. Nazajutrz, po przyjeździe do tego położonego na wzgórzach miasta, w oczekiwaniu na pociąg do Wrocławia, zwiedzamy je. Może się myłę bo nie jestem lwowianinem, ale osobiście dopatruję się podobieństwa do Lwowa.

Jasio przypomina jak ekspatriowano ich w 1945 roku i do Polski. 3 tygodnie jechali ze Stanisławowa do Opoli. Tam przesiadka z szerokich na normalne tory, by po kilku dniach oczekiwania dojechać do Wrocławia. Tu w PURze znowu tym razem kilkutygodniowy „postój”, w oczekiwaniu na następny transport do Brzegu Dolnego. To jeszcze nie był koniec wędrówki. Po jakimś czasie, odnajduje się ojciec, który powrócił z Niemiec i osiedlił się w Droszkowie k. Kłodzka. Znowu przeprowadzka, ale tym razem już ostatnia, by po kilku latach rozłąki być nareszcie razem.

A dalej, dalej to normalna kolej rzeczy. Szkoła, studia, założenie rodziny, praca i nareszcie emerytura. Pełni wrażeń, męczeni, wieczorem wsiadamy do pociągu. Rano przywitał nas, nasz Wrocław. Po przeczytaniu tego tekstu, musicie przyznać, że innego tytułu nie mogłem wymyślić.

W hołdzie Sybirakom



Pomnik upamiętniający Polaków, którzy zginęli deportowani w głąb Związku Radzieckiego, odsłonięto 15 czerwca br. w Piławie Górnej. Odsłonięcie monumentu odbyło się w 75 rocznicę powstania Związku Sybiraków w Polsce oraz w 15-lecie jego reaktywowania.

Pomnik ufundowało Koło Sybiraków Ziemi Dzierżoniowskiej oraz lokalni sponsorzy. Poświęcił go ks. inf. Stanisław Turkowski.

Na wielkiej płycie wygrawerowana jest mapa Związku Radzieckiego z umieszczonymi na niej krzyżami - miejscami kaźni naszych rodaków. Pośrodku sylwetka Chrystusa dźwigającego krzyż. Obok symbol Związku Sybiraków na białym czerwonym tle. Po lewej stronie płyty umieszczonych jest kilkanaście mniejszych kamiennych bloków, z wytłoczonymi na nich nazwami miejscowości, w których rozegrały się największe tragedie narodu polskiego: Katyń, Workuta, Krasnojarsk... Po prawej - płyta z wygrawerowanym na niej białym orłem, rozpościerającym skrzydła wewnątrz konturu Polski. Inskrypcja na monumencie brzmi: „... powiedz innym o naszym losie... W hołdzie współbraciom Sybirakom, zamęczonym i zmarłym w więzieniach i łagrach sowieckich, w tajgach Syberii, na ste-

pach Kazachstanu, zmarłym w Ojczyźnie”.

Z okazji poświęcenia pomnika pamięci Ksiądz infułat dr Stanisław Turkowski wygłosił wzruszające, pełne patriotyzmu przemówienie, którego treść poniżej drukujemy.

Ponieważ w gronie Tłumaczan jest dużo Sybiraków, napewno więc z dużym zainteresowaniem powrócą do tych tragicznych kart naszej historii.

Danuta Tabińska-Juhasz

Pamięci Sybiraków

Ks. Stanisław Turkowski

W roku 1996 ukazała się książka autorstwa Jądwi Ichnatowicz-Suszyńskiej żony oficera polskiego, matki sześciorga dzieci wywiezionej z Wileńszczyzny na Sybir zimą 1940r. Wspomnienia zostały przez autorkę zatytułowane słowami jakie skierował do niej oficer NKWD podczas przesłuchania „Z korzeniami wyrwiemy was z ziemi.” Autorka, która bohatercko przeżyła zsyłkę, dzieli się swoimi przeżyciami, które stanowią wstrząsający dokument historyczny. Tego rodzaju dokumentów mamy wiele. Mówią one o istocie dramatu jaki dotknął wielką część polskiego społeczeństwa zamieszkującego tamte obszary Polski.

Słowo SYBIR kojarzy się nam z olbrzymią krzywdą, niesprawiedliwością i cierpieniem ponad miliona Polek i Polaków wywiezionych nocą w latach 1940-1941 ze wschodnich terenów Rzeczypospolitej w głąb Związku Radzieckiego. Słowo to utożsamia się w naszej świadomości z „niehumanitarną ziemią”, z więzieniami i łagrami Kołymy,

Workuty, Magadanu, stepami Kazachstanu, śmiercią wielu bliskich osób w Katyniu, Charkowie, Starobielsku, Kozielsku, Miednoje i wielu, wielu innych, oraz z traconym na zawsze zdrowiem i trwałym inwalidztwem tych, co przeżyli.

Są to wstrząsające dramaty osób i rodzin... Gdy czyta się wspomnienia, których przez pół wieku nie wolno było publikować, gdyż jak pisał w 1956 roku Adam Ważyk w poemacie p.t. „Poemat dla dorosłych”, „Taka nasza polska mapa, nie lizia drażnić dziś kacapa”... gdy się słucha „na żywo” opowieści tych, co ów koszmar przetrwali, to budzą się różne uczucia i nasuwają się rozmaite pytania. m. in. - dlaczego? Jak mogło do tego dojść? Co na to społeczność międzynarodowa? Wszak działo się to na oczach cywilizowanego świata, który milczał, tak jak milczy dzisiaj, gdy interes polityczny i wyrachowanie doraźne przedkładane jest ponad dobrem człowieka. Kto za to wszystko Odpowiada? Czy wojskowi wykonujący ślepo rozkazy przełożonych, czy decydenci - politycy? Jak dochodzi do tego, że „człowiek staje się dla człowieka wilkiem?” - dziką bestią...

Na te pytania jest tylko jedna rozsądna odpowiedź, jeśli człowiek podepce prawo Boże, jeśli odejdzie od Dekalogu, zabije w sobie głos sumienia, przestaje być człowiekiem, staje się bestią... Tajemnica człowieka, który w swej godności i możliwościach rozwojowych jest „mało co mniejszy od aniołów”, jak go określa autor psalmu/48,6/ ale zarazem posiada tę cechę, że staje się „bardziej bydlęcym aniżeli samo bydło” - jak pisze niemiecki poeta Wolfgang Goethe. Tajemnica zła, misterium iniquitatis - tkwi we wnętrzu człowieka. Może wznieść się na wyżyny swego człowieczeństwa, stać się bohaterem i świętym - jak to pokazuje historia ale ten sam człowiek ulegając własnej słabości, ulegając podszeptom szatana, może stać się dzikim zwierzęciem. „Między bestialstwem a heroizmem” toczą się losy człowieka i losy świata również i dzisiaj. Widzimy bowiem z jednej strony niespotykany dotąd rozwój i postęp wielu dziedzin życia, a z drugiej - upadek kultury ducha, regres, poniżenie osobistej godności człowieka, który zdolny jest do każdej zbrodni i nawet chlubi się zbrodniami jako twórca „cywilizacji śmierci”. Usiłuje eliminować Boga z różnych aktów prawnych i siebie stawia na miejscu stwórcy. Chce być mocniejszym od samego Boga. Sam tworzy historię na własny użytek, zmieniając przeszłość w zależności od zapotrzebowania. Zakłamuje fakty przeszłe, czego nawet Bóg czynić nie może, gdyż nie jest w stanie zmienić tego, co było. Bóg nie może unicestwić faktów zaistniałych. Historycy natomiast nie licząc się z prawdą, fałszują, zmieniają przeszłość na użytek polityków, dla doraźnych celów i grupowych interesów. Dotyczy to przede wszystkim wydarzeń drugiej wojny światowej, a w szczególności dramatu Sybiraków,

Golgoty Wschodu, osób i rodzin wypędzonych z Kresów Wschodnich i zbrodni ukraińskich na polskiej ludności w ramach „czystki etnicznej” i ludobójstwa dokonanego na tysiącach kobiet, starców i bezbronnych dzieci. Przedstawianie tych faktów w publikacjach i podręcznikach szkolnych jest gigantycznym kłamstwem i kosmicznym oszustwem najnowszej historii, dla zatarcia pamięci, dla „wrywania z korzeniami” z ojczyzny, z ojczyzny przeszłości.

„Polszy niet i nikagda nie budiet” - słyszeliśmy to wiele razy. Te słowa sowieckich zbrodniarzy tkwią nadal mocno w poglądach i planach dzisiejszych międzynarodo-

wych mafii i znajdują wyraz w działalności wielu współczesnych decydentów, autorów podręczników i różnych publikacji w mediach. Wyrwać z korzeniami, odłączyć, odseparować od przeszłości, od historii i tradycji, od wartości chrześcijańskich, religijnych i narodowych aż do całkowitego zniewolenia i „unicztożenia”. Oto zbrodniczy plan jaki przyświeca wielu politykom, historykom, zabierającym głos na temat naszej niedawnej, jakże tragicznej przeszłości.

„Naród bez pamięci musi zginąć!” Pamięć narodowa domaga się rzetelnej i pełnej wiedzy o wydarzeniach, które tak dotkliwie i boleśnie wpisały się w naszą historię. Żadne hasła o tzw. tolerancji, ksenofobii, o polskim nacjonalizmie itd. którymi posługują się ci, którzy chcą zamknąć usta świadkom i uczestnikom narodowych tragedii w imię przebaczenia, zapomnienia i ukierunkowania ku przyszłości - nie mogą osłabiać naszej wrażliwości na prawdę i paraliżować naszego ducha narodowego. Nie mogą zabijać nadziei lepszego świata, szczęśliwszej przyszłości, która leży w odrodzeniu człowieka

i moralnej odnowie, do czego tak wytrwale i konsekwentnie zachęca Ojciec Święty.

Tę nadzieję lepszego jutra, lepszego świata młodsze pokolenie nasze powinno czerpać „z pierwszej ręki”, a więc bezpośrednio od tych, co przeżyli koszmar dawnych dni dzięki niezłomnej wierze i niezachwianej ufności w Bożą Opatrzność, która kieruje losami świata wbrew zakusom przewrotnej propagandy polityków i „pisze prosto po krzywych liniach historii”. To oni, nasi dziadkowie i ojcowie Sybiracy są prawdziwym, niezakłamanym i jedynie wiarygodnym źródłem informacji o najnowszej historii Polski. To ich świadectwo przemawia do naszej świadomości w sposób miarodajny i obiektywny. To oni są „strażnikami zbiorowej pamięci” jak napisał w liście do osób w podeszłym wieku Jan Paweł II. To oni uosabiają polską martyrologię, są symbolem naszej tragicznej w swej wymowie historii, pisanej cierpieniem i ofiarą życia. Bez znajomości dramatycznych losów naszych sióstr i braci Polaków nie można w sposób odważny i skuteczny budować przyszłości. Wykorzenienie z ojczyzny gleby historii, tradycji i narodowego obyczaju, to realna groźba naszych



czasów! Ostrzega przed nią Ojciec Święty Jan Paweł II. W natłoku wielu spraw i wydarzeń, w pogoni za dobrami materialnymi, wśród licznych obaw i lęków, to dziś groźba realna. Dlatego należy trwać, trwać w wierze ojców, w tym, co od urodzenia jest nam drogie i bliskie, co przekazali nam dobrzy rodzice, mądrzy nauczyciele, co dała nam Ojczyzna, jej historia prawdziwa, niezafalszowana, jej kultura i tradycja... Tego nie wolno się wyrzec, wymazać ze świadomości wbrew dzisiejszej biedzie i nędzy, wbrew jutrzejszej modzie i wrogim zakusom. Trzeba trwać na fundamencie wiary i nie zadowalać się metrykalnym katolicyzmem. Są to rzeczy ogólnie znane ale dlaczego tak obce naszej rzeczywistości? „Tego cośmy przeżyli, co oglądały nasze oczy nie będziemy ukrywać przed synami” - pisze autor psalmu 78-go tego co przeżyli zesłańcy Sybiru, Golgoty Wschodu, więźniowie sowieckich łagrów i niemieckich obozów, ofiary ukraińskich zbrodni nie powinny zdeptać stopy przyszłych pokoleń!

Odślaniając i poświęcając ten piękny, a w swej artystycznej wymowie tak bardzo pouczający monument tuż obok kościoła parafialnego, chcemy uczcić pamięć tych, co oddali swoje życie i zdrowie za wolność i prawdziwą niepodległość naszej Ojczyzny. Polski wolnej od fałszu i zakłamania, Polski służącej prawdzie i sprawiedliwości. Pragniemy ukazać młodszemu pokoleniu Polek i Polaków, do czego prowadzi bezbożnictwo, ateizm, nienawiść, pogarda dla wartości kulturowych, zafalszowana historia i brak prawdy w życiu społecznym.

Niechaj każde spojrzenie na ten pomnik i odczytanie miejsc kaźni będzie przypomnieniem tragicznych losów naszych Rodaków na Wschodnich Rubieżach Rzeczypospolitej, niech mówi o ich ofierze i poświęceniu dla

wielkiej i ważnej sprawy. Niech ostrzega przed wszelkim kłamstwem i fałszywą propagandą tak dzisiaj ogłupiającą nasz naród. Niech wzbogaca naszą wiedzę historyczną, niech budzi zdrowy patriotyzm oraz chęć ofiarnej, bezinteresownej pracy dla wspólnego dobra.

Skoro „między bestialstwem i heroizmem” toczy się historia, „między podłością a wzniosłością” biegnie nasze życie, a między barbarzyństwem obecnych czasów i nadzieją lepszej przyszłości” chcemy tworzyć życie społeczne naszej Ojczyzny, to niech raz jeszcze ten monument przypomni nam prawdę przez Boga objawioną w starym Testamencie „Fundamenty ziemi należą do Pana, na nich On świat położył i nie własną siłą człowiek zwycięża” (1 Sm.2,10)

Wola przetrwania obecnych trudnych chwil w naszym życiu publicznym i wiara niezłomna w ostateczne zwycięstwo prawdy i dobra, niech nam ciągle przypomina dewizę „Naród polski potrafi każdą klęskę przetrwać i uczynić z niej zaczątek przyszłego zwycięstwa” Tak było w naszej historycznej przeszłości. Ufamy, że tak też będzie i na przyszłość, którą na prawdzie chcemy budować. Na zakończenie przypomnijmy słowa Ojca Sw. Jana Pawła II wypowiedziane w Legnicy 6 lat temu 2.VI.1997r.

Jest wśród was wielu, którzy czerpiąc siłę z wiary potrafili przejść przez Sybir i ciężkie doświadczenia lat wojennych i powojennych chociażby przez straszliwe obozy koncentracyjne. Tylko dzięki wierze przetrwaliście te straszliwe warunki na nieludzkiej ziemi, na której przyszło wam żyć długie nieraz lata.

Niech dobry Bóg wynagrodzi wasze cierpienia, a zmarłym da wieczny odpoczynek.

Tłumacki Cmentarz

Adam Biliński

Wprawdzie Święto zmarłych jest już za nami, ja jednak jeszcze raz chciałbym powrócić do Tłumacza. . . Niestety nie było mi dane pojechać tam oraz zobaczyć tamtego miejsca i współczesnych Tłumaczan, ale wierzę, że to kiedyś nastąpi. Tymczasem bardzo chętnie wysłuchuję opowieści rodziny i znajomych, którzy stamtąd pochodzą oraz którzy odwiedzili swoją małą Ojczyznę zupełnie niedawno...



Jednym z takich miejsc, które chciałbym bezwzględnie zobaczyć podczas swojej przyszłej podróży do Tłumacza jest tamtejszy Cmentarz. Bardzo często o nim myślę, bo przecież tam właśnie spoczywają w pokoju moi najstarsi przodkowie... Jedynie tylko tam wśród drzew, między figurami aniołów, drewnianymi krzyżami oraz epitafiami, zatrzymał się czas...

Akurat tak się złożyło, że niedawno odwiedził Tłumacz mój krewny, Zbyszek Petrus (syn wuja Franciszka). Dzięki niemu to mogłem znowu obejrzeć fotografie naszego kresowego miasteczka i nekropolii naszych przodków - pięknej, choć "zapuszczonej" - bowiem takich (chyba oprócz cmentarza Rakowieckiego w Krakowie czy Powązkowskiego w Warszawie) w Polsce już dzisiaj nie ma. Po raz pierwszy ujrzałem tłumacką kapliczkę...

... oraz miejsca spoczynku paru znanych Tłumaczan lub tłumackich rodzin. Oto bowiem na jednym z nagrobków można ujrzeć epitafium poświęcone duchownemu z Tłumacza w brzmieniu:

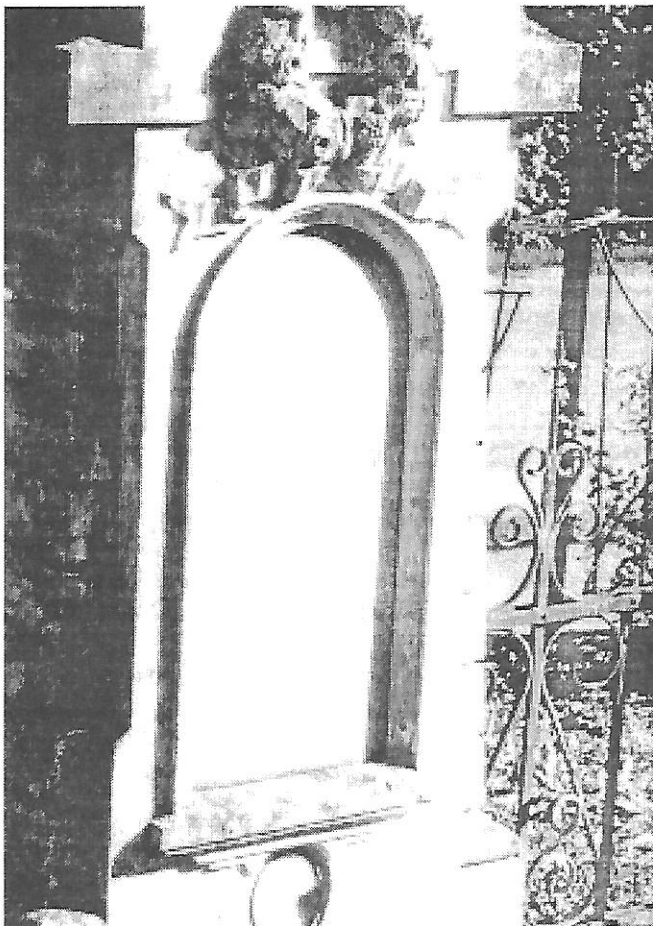
*" Tu spoczywają zwłoki
Ks. Franciszka Sawy
Proboszcza obrządku łac.
Prezesa Rady Powiatowej
i Posła na Sejm Krajowy.
Przeżywszy lat 61*



zmarł 22 kwietnia 1897/8(?)
Któremu w uznaniu Jego zasług
Jako swemu Marszałkowi
Postawiła ten pomnik
Rada powiatowa Tłumacza. "

Na innym z kolei nagrobku można zobaczyć inskrypcję
poświęconą ojcu i synu:
"Edward Robert Halkiewicz
Proj.(projektant(?)) - przyp. autora) Gimnazjum w Tłuma-
czu
*7 VI 1882 + 1711930

Emil Zdzisław Halkiewicz
Absolwent gimnazjum
*20 XI 1909 +20 VI 1929

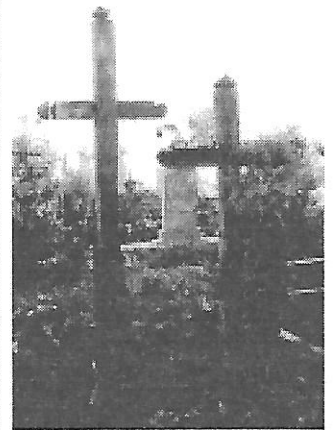


PROSZĄ O ANIOŁ PAŃSKI

Mężu i Synu (...)
Szczęście moje tu spoczywa
I cóż dla mnie pozostaje
Ziemia, która (. . .)"

Kolejne zdjęcie ukazuje wspaniały rodzinny: "Gro-
bowiec Kowalewskich i Bilińskich"
(skądinąd naszej rodziny).

Niestety nie udało mi się zobaczyć do tej pory gro-
bu swoich przodków na tłumackim cmentarzu, choć wiem,
że taki istniał. Podobno ok. dziesięć lat temu rosła na nim
dwumetrowa brzoza... Jeżeli jeszcze stoi - na pewno będę
chciał ujrzeć go samemu! W końcu czas na Cmentarzu
w Tłumaczu stanął... I tylko bluszcz tego nie wie porasta-
jąc spokojnie figury skrzydlatych aniołów. . .



O Tłumackich księgach parafialnych


Adam Biliński

Mili rodacy! Doprawdy z wielką przyjemnością pisałem to, co udało mi się dowiedzieć o własnych korzeniach na podstawie zebranych dokumentów, opowieści rodziny, znajomych oraz innych osób, jakie napotkałem do tej pory na swojej drodze życiowej. Także jeszcze bardziej było mi miło, gdy mogłem się tym podzielić z czytelnikami naszych „Zeszytów Tłumackich”. Zapewne Wielu z Was zastanawiało się wtedy gdzie można by odnaleźć podobne informacje na temat własnej rodziny?.. Otóż i ja zaczynając swoje poszukiwania miałem z tym wielki problem do tego stopnia, że pierwsze moje dokonania - choć skuteczne - były poczynione niemal po omacku. To właśnie skłoniło mnie do napisania co nieco o źródłach mojej wiedzy na temat własnych przodków.

Chyba nie muszę wiele mówić na temat tych wiadomości, jakie posiadają żyjący jeszcze mieszkańcy Tłumacza czy w ogóle Kresów. Właściwie można by to odnieść do wszystkich osób urodzonych przed wojną. Wraz

z ich "odejściem" zgasną wszelkie wspomnienia tamtych czasów, tamtych ludzi i innych ciekawych historii, jakich oni byli świadkami lub o których słyszeli częstokroć od własnych przodków! Zaprawdę jest to już ostatni dzwonek dla pokolenia takiego jak moje na dowiedzenie się o... i zachowanie tych wspomnień, chyba że ich "posiadacze" wcześniej sami spiszą choćby ich część dla potomności. "Zeszyty Tłumackie" stały się wspólnym tego wyrazem! Niestety częstokroć jest już na to za późno... Wystarczy tu wspomnieć osobę pana profesora, Mieczysława Zdanowicza, którego tak ciepło wspominała żegnając pani Danusia Tabińska - Juhasz w ostatnim numerze naszego pisma (II kwartał 2003 r.).

Jeśli chodzi o informacje, jakie można odnaleźć w różnego rodzaju książkach, herbarzach, opracowaniach genealogicznych czy innych drukowanych materiałach należy uczciwie powiedzieć, że trzeba mieć ogromne szczęście ażeby odnaleźć jakieś wzmianki na temat własnych bezpośrednich przodków. Mnie samemu udało się to jak do tej pory tylko dwukrotnie, pomimo że o różnych Bilińskich napisano dość sporo. I to właśnie jest najgorsze, co może się zdarzyć!... Jeśli w starszych źródłach drukowanych można odnaleźć niewiele (lub wcale) wzmianek na temat rodzin nieszlacheckiego pochodzenia, to nie lepiej jest z wiadomościami na temat drobnej szlach-

Archiw.: <u>lwowska.</u> Dekanat: <u>Stanisławów.</u> Parafia: <u>Tłumacz.</u> Miejsce zam.: _____				Rzeczpospolita: <u>Polska.</u> Województwo: <u>Stanisławowskie.</u> Starostwo: <u>Tłumackie.</u> Gmina: _____	
syn urodz. d. r. w parafji _____ zam. w czasie ślubu _____ parafja _____ Zmarł _____		Matrimonie zaślubieni d. r. w paraf. obrz. iac. ślub, wrebr. złoty Polonstwo.		córka urodz. d. w parafji _____ zam. w czasie ślubu _____ parafja _____ Zmarła _____	
Imię dziecka					
I. kolumni					
bierzmow.					
Imię					
Zawód					
Wpis. do Słow. Mi.					
Czas ślubu					
Z kim					
Śląc					
Dokąd					
Zmarł					
Polonstwo					
Tłumacz, dnia 193... Wydanie Proboszcz iac.					

Do nabycia w Drukarni Powiatowej w Tłumaczu.

ty, o nazwiskach której czasem nawet nic nie ma w nawet najlepszych herbarzach. Z drugiej jednak strony ostatnie zainteresowanie ludzi tą tematyką pobudza proces badań naukowych. Tylko pozostaje pytanie jak wiele uda się jeszcze odtworzyć tej wiedzy, która została zaprzepaszczona podczas różnych zawieruch dziejowych?..

W tym momencie doszedłem do sedna swoich rozważań i do meritum sprawy, jaką poruszyłem już w tytule tego artykułu. Mianowicie przez długi czas zachodziłem w głowę - co stało się z księgami metrykalnymi Kościoła parafialnego w Tłumaczu? To jest bardzo ważna sprawa, bowiem tylko księgi metrykalne, o ile się zachowały, stanowią najlepsze i najdokładniejsze źródło wiadomości na temat ludzi bez względu na ich pochodzenie (szlacheckie czy też nieszlacheckie)!... Jak wiadomo - "przed Bogiem wszyscy równi"! [Mimo to nawet i w księgach metrykalnych do końca XIX wieku istniał zwyczaj wyróżniania członków rodzin szlacheckich łacińskim dopiskiem „nobilis” [szlachetny].

Jeśli idzie o tłumackie księgi parafialne ich odnalezienie było niezwykle trudne. Co prawda już najbliżsi członkowie rodziny wspominali, że one muszą być w miasteczku Kąty Wrocławskie położonym niedaleko stolicy Dolnego Śląska, bowiem stamtąd właśnie pobierało się potrzebne zaświadczenia, jednak te informacje nie potwierdziły się a przynajmniej nie do końca. . .

Ciekawą historię usłyszałem od mojego wujka, Franciszka Petrusa, który był naocznym świadkiem przywiezienia wyposażenia Kościoła z Tłumacza a z pewnością m.in. tego, co zawierało parę skrzyń. Otóż mienie tłumackiej parafii zostało początkowo (po II wojnie światowej) przywiezione do podwrocławskich Gniechowic - tych samych, przez które należy przejechać, aby dotrzeć do Siedlakowic z tłumackim obrazem Św. Anny jadąc od strony Wrocławia. Wtedy to w Gniechowicach przy zakręcie w kierunku do Pustkowa Żurawskiego istniał jeszcze stary ewangelicki kościół, niestety nazbyt zrujnowany działaniami wojennymi, ażeby mógł służyć do dalszego kultu wiary, w związku z czym wkrótce rozpoczęto budowę nowej, istniejącej do dziś, świątyni. Po przyjeździe do Gniechowic ksiądz Piszczór zamieszkał początkowo w domostwie jednego z tamtejszych gospodarzy; zaś na strychu tegoż domu nakazał pomagającym mu ludziom wysypać zawartość paru skrzyń, po czym powstała sterta różnych papierów i dokumentów, jednak nie jest pewne czy były wśród nich księgi metrykalne... Kiedy wieść o miejscu pobytu swojego proboszcza doszła Tłumaczan osiedlonych w podwrocławskich miejscowościach: Gądów, Jasz kotle, Smolec, ci szybko wybrali się w pieszą wycieczkę do Gniechowic... Były wśród nich panie: Helena z Petrusów Bilińska (żona Feliksa), Anna Petrus z d. Popiel (wdowa po kowalu Mieczysławie), pani Masło i inne osoby, także młody Franciszek Petrus (syn Anny). Ksiądz Piszczór rad z odwiedzin poprosił przybyłych o pomoc w segregacji stosu papierów, jednakże pomimo wspomnienia, że były tam jakieś książki, nic nie wiadomo czy były to księgi metrykalne...

Po paru latach proboszcz został przeniesiony i razem z nim wszystko to zostało przewiezione do parafii w Kątach Wrocławskich. Tam też później zapewne wielu z Tłumaczan uzyskiwało stosowne zaświadczenia metrykalne potrzebne np. do zawarcia związku małżeńskiego.

Wiele lat później materiały, o których mowa wyżej zostały przekazane do Archiwum Archidiecezji Lwowskiej w Lubaczowie, dawne woj. Lubelskie. Po jego zaś likwidacji (a właściwie przeniesieniu) wszystko znalazło się w Archiwum Bibliotece i Muzeum Metropolii Lwowskiej ob. Łacińskiego z siedzibą w Krakowie.

Mnie samemu udało się wreszcie dowiedzieć, co tak naprawdę stało się z tłumackimi księgami metrykalnymi, jednak nie sposób opowiedzieć jak dokładnie do tego doszedłem... Jeżeli jednak wiem co się z nimi dzieje obecnie grzechem byłoby zachowywać te wiadomości tylko dla siebie. Tak więc - gdzie są te księgi metrykalne z rzymskokatolickiej parafii w Tłumaczu? Okazuje się, że ich losy były nieco skomplikowane, bowiem księgi te majdują się:

→ za lata: 1666 - 1802 o dziwo znajdują się w Polsce, w Warszawie, adres:
Archiwum Główne Akt Dawnych
ul. Długa 7
00-263 Warszawa

Może wydawać się dziwnym, ale tłumackie akty metrykalne z młodszych lat są znane dopiero po kilkunastoletniej przerwie, a to:

→ za lata: 1816 - 1875 znajdują się na Ukrainie we Lwowie, adres:
Centralne Państwowe Historyczne Archiwum Ukrainy i miasta Lwowa
pl. Soborna 3a
79000 Lwów - MSP,
UKRAINA

→ za lata: 1876 - 1945 majdują się na Ukrainie w Stanisławowie, adres:
Państwowe Archiwum obwodu Stanisławowskiego
ul. Sahajdacznego 41a
Stanisławów (Iwano-Frankowsk)
UKRAINA

Dodatkowo udało mi się ustalić, że w Archiwum Abpa E. Baziaka w Krakowie znajduje się, wprawdzie nie zbiór ksiąg metrykalnych, ale niepełna kartoteka Tłumackich rodzin za lata 1930 - 1945, najpewniej sporządzona przez proboszcza w Tłumaczu na krótko przed wyjazdem na zachodnie "Ziemie Odzyskane". Poszczególne karty obejmują daną parę małżonków wraz z ich rodzicami oraz datami ślubu i urodzin a także dzieci zrodzone z takiego małżeństwa oraz daty narodzin tychże. Moim zdaniem karty te są najprawdopodobniej pozostałością tej samej dokumentacji, którą przywiózł ksiądz Piszczór do Gniechowic. Adres instytucji, w której one się znajdują to:

Archiwum Abpa E. Baziaka
Ul. Kanonicza 13
31-002 Kraków
tel./fax (0-12) 411-37-40

Z wielkim zaskoczeniem dowiedziałem się o posiadaniu przez Urząd Stanu Cywilnego w mieście stołecz-

nym Warszawa Oddział Śródmieście paru ksiąg metrykalnych z rzymskokatolickiej parafii Tłumacz, a to za konkretne lata: 1876, 1889, 1929. Jest to bardzo dziwna sprawa, bowiem przechowywane księgi są tylko z tych trzech tak różnych dat... Zupełnie też nie mam pojęcia skąd one się wzięły w tej placówce, która jest także znana jako Archiwum Zabużańskie. Adres tamże:

Urząd Stanu Cywilnego
w m. stołecznym Warszawie
Oddział Śródmieście
00-950 Warszawa P-18

Gwoli wyjaśnienia mówiąc o księgach metrykalnych mam na myśli księgi urodzeń/chrztów, małżeństw i zgonów/pogrzebów, gdyż takie zapisy były w nich dokonywane. Należy pamiętać, że szczególnie w wypadku tych najstarszych - są one w bardzo złym stanie a najgorsze jest to, że są niepełne, tzn. brakuje w nich stron a co za tym idzie wielu wpisów - często z kilku lat pod rząd. . . Nie sposób nie wspomnieć też o niezwykle wysokich opłatach związanych z dokonywaniem odpisów - tyczy się to przede wszystkim placówek ukraińskich, gdzie kosztu odpisu jednego aktu sięgają nawet 30 dolarów i więcej. Często stokroć swoje usługi proponują także tamtejsze biura badań genealogicznych, jednakże podobno na miejscu można uzyskać stosowny odpis całkiem niedrogo... Istnieje także droga do uzyskania potrzebnego aktu za pośrednictwem polskiego konsulatu we Lwowie, którego adres to:

Konsulat Generalny RP
ul. Iwana Franka 110
290011 Lwów

W takim wypadku należy podać wszelkie niezbędne dane dotyczące poszukiwanej osoby a to: imię, nazwisko, zdarzenie będące podstawą wpisu do księgi metrykalnej (ur., śb lub zg.) a także jego miejsce (parafię) i datę (wystarczy rok) lub przybliżony czas. Niestety muszę podkreślić co sygnalizuje także Konsulat w swoich pismach - to nie jest placówka badań historycznych, więc nie można oczekiwać cudów. Załatwianie spraw trwa długo a najczęściej kończy się odpowiedzią Konsulatu, że jest za mało danych i nie można nic zrobić...

Jeśli chodzi o USC w Warszawie opłaty są takie same jak za zwykły odpis aktu stanu cywilnego w zwykłym USC. AGAD ma własny cennik opłat zarówno za godzinę poszukiwania członka danej rodziny jak i za osobny odpis aktu (w brzmieniu dosłownym po łacinie lub za kserokopię strony z księgi metrykalnej).

Bardzo ważnym jest, aby w ewentualnych pismach kierowanych do powyższych instytucji prosić wyraźnie o wypisanie dziadków danej osoby, gdyż to nie zawsze jest oczywiste dla pracowników tychże, a może być bardzo istotnym dla proszącego. Nie ma z tym żadnego problemu, bowiem przed wojną normą było wpisywanie do aktu urodzenia danej osoby jej dziadków.

Poszukiwanie swoich korzeni jest bardzo czasochłonne i co by nie mówić kosztowne, jednak szukającemu przynosi wiele radości i dumy a rezultaty mogą często przerosnąć najśmielsze oczekiwania. Z moich badań nad historią własnej rodziny wynika, że wiele z tłumackich rodzin, także Bilińscy, zamieszkiwało to miasteczko od najdawniejszych czasów. Niech świadczy o tym spis,

który sporządziłem na podstawie studiów nad najstarszymi księgami metrykalnymi rzymskokatolickiej parafii w Tłumaczu.

Spis nazwisk najczęściej pojawiających się w księgach metrykalnych rzymskokatolickiej parafii w Tłumaczu za lata 1666 - 1802

Aleksandrowicz,	Klicki
Argaziński,	Klimczak vel Klimczuk
Babinek,	Kłonowski
Bielowski,	Kłopotowski
Bień,	Komarnicki
Bieńkowski,	Korta
Biliński,	Koryzma? (~Koryzmowa)
Błoński,	Kozurski
Błotnicki,	Krajewski
Borkowski,	Kruk (~Krukówna)
Brzyski,	Kruszkowski
Cendrowicz,	Krzemiński
Chmielowski,	Krzyżanowski
Chrościński,	Kubaczkowski
Chrustowski,	Kuderski vel. Kudelski
Czajkowski,	Laskowski
Czerkawski,	Łacki vel Łęcki
Dacza,	Lechowski
Drohomyrecki,	Majdański
Dubicki vel: Dubiski,	Mikulski
Duzinkiewicz vel:	Milewski
Tuzinkiewicz,	Mroczkowski
Dwojak,	Niesłuchowski (ksiądz)
Dyzma,	Nowotorski vel Nowotarski
Dziędzielewski vel:	Olszanowski
Dziędzielewski,	Ornatowski
Gąsiorowski,	Ostropolski
Giengiekowicz vel:	Ozarkiewicz
Giergiekowicz,	Pacanowski
Gliński,	Pasternak
Głuszcowski,	Pawełek
Golejewski,	Pawłowski
Goliński,	Piasecki,
Gontarzewski,	Pieczyski vel: Pieczyński,
Grabowiecki,	Pierzyński,
Grabowski,	Pilecki,
Hajdasz vel: Chajdacz,	Piotrowski,
Hołyński,	Pławuszewski,
Hryniowski,	Pohorecki vel: Podhorecki,
Illicki,	Popławski,
Jakoweńko,	Przebilski,
Janiszewski,	Przysiężniuk
Jarczewski,	Radwański (ksiądz),
Jasiński,	Rawecki,
Jędrzejowski,	Rawski,
	Remiszewski,
Jordan,	Rogosiński,
Kaczorowski,	Rusiecki,
Kamiński,	Ruszkowski,
Karczewski vel Kar-	Rypczyński,
czowski	Rzepecki,
Kicki z Kitek (Ferdynand)	Sabatowicz,
	Saduniewski,

Sadurski vel: Zadurski,
Samborski,
Samelowski,
Sandurski,
Sinkiewicz vel: Sienkiewicz,
Skibicki,
Skierbiszewski,
Skuza vel: Skóra,
Sokołowski vel: Rola - Sokołowski,
Sołotwiński,
Stachurski,
Stowarowski vel: Stawarowski,
Stojkówna,
Stojowski,
Stolarski,

Strutyński,
Strzelecki,
Szeniszewski,
Szydłowski,
Szymański,
Śmiałkowski,
Śniechowski,
Tamawski vel Tamowski,
Trojanowski,
Tworowski,
Urbański,
Wierzbicki,
Więckowski,
Wiszniewski,
Wiśniewski vel Wiśniowski,
Wysoki,

Zadyński,
Zagórski,
Zakowicz,
Zawadzki,
Zdanowicz,
Zdowiecki,
Zieliński,
Zupczewski vel Zubczewski,
Zwierzchowski,
Żurakowski,
Żurek,

a także:

Potocki,
Rakoczy.

Listy

Listy

Szanowna pani Redaktor

Przesyłam na pani ręce kolejne swoje dwa teksty, dla ewentualnego wykorzystania na łamach „Zeszytów Tłumackich”. Będzie to forma odpowiedzi na apel podniesiony na zebraniu ogólnym Oddziału Tłumaczan, zakończony słowami „Proszę wziąć do serca tę prośbę, czas ucieka!” (ZT nr 2/2003 „List z Kołobrzegu”).

Przez kilka lat staramy się wraz z bratem Tadeuszem nie tracić serdecznego kontaktu z ZT, przysyłając co jakiś czas swoje teksty.

Szkoda tylko, że szereg z nich nie ukazuje się mimo, że tak tematyka, jak i forma w pełni odpowiada zadaniom, jakie stawia sobie i spełnia czasopismo Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Nasze wspomnienia i opisy staramy się zawsze wiązać z miejscami, gdzie wyrosliśmy i wydarzeniami, które żeśmy przeżyli, a teraz staramy się ocalić od zapomnienia. Bo jak pisze Jacek Kolbuszewski w swojej książce

„Kresy”: „Kresy w ich rozumieniu historycznym stały się obszarem mitycznym o którym warto i trzeba pamiętać, ale do którego powrotu już nie ma”.

Byliśmy zawiedzeni, że nie znalazł miejsca tekst brata Tadeusza „Ukraińcy o Ksawerówce” w związku z rocznicą tragedii tej kolonii polskiej w dniu 27 marca 1944 r., jak również mój tekst, którym pragnąłem uczcić pamięć bliskiego nam poety Tadeusza Hollendra w 60 rocznicę jego tragicznej śmierci. (31.05.1943 r.)

Nie wykorzystane zostało też przez Redakcję nasze opracowanie „Ziemia Stanisławowska. Przewodnik „Łódź 1998 r., w którym zamieszczono opisy tak pod względem historycznym, geograficznym, gospodarczym - 81 miejscowości tego województwa.

Należałoby na zakończenie jeszcze raz powtórzyć końcowe słowa apelu „[...] czas ucieka !!!”

Przesyłam serdeczne pozdrowienia i pozostaję z głębokim szacunkiem.

Stanisław Pelikan

Odpowiadamy:

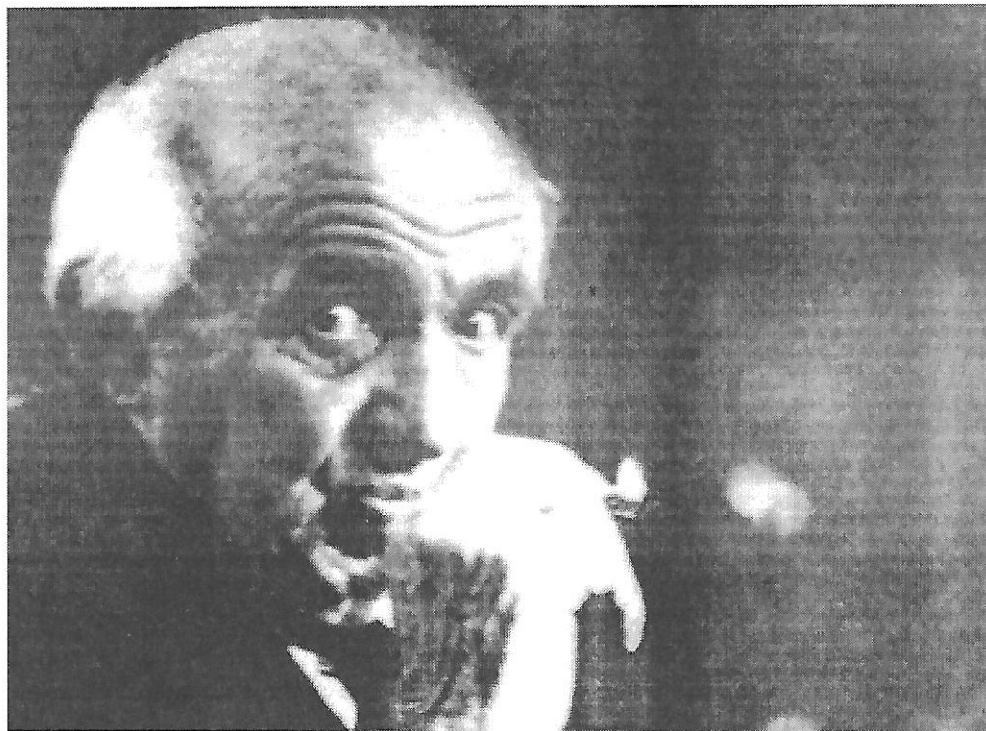
Jesteśmy niezmiernie wdzięczni obu Panom Pelikanom za ich wspaniały wkład do ZT o tematyce dotyczącej rodzinnej Tyśmienicy. Naszym usprawiedliwieniem niech będzie fakt, że w każdym kolejnym numerze ZT jest „któryś Pelikan” drukowany. Musimy nasze artykuły dawkować (wszystkie napewno będą jeszcze w kolejnych ZT wydrukowane). Zrozumcie! Spotykamy się z krytyką, że w ZT najwięcej pisze się o Tyśmienicy, Tarnowicy Po-

Inej, Stanisławowie. Apele z Kołobrzegu miały przede wszystkim zmobilizować naszych Tłumaczan, którzy wolą nas czytać, a niżeli pisać.

Najważniejsze jest to, żeby nam wszystkim służyło jeszcze zdrowie do pisania i czytania, czego z całego serca życzę Wam wierni panowie Pelikanowie.

Redaktor
Danuta Tabińska-Juhasz

Białe wino z Żabiego



Od redakcji

Stanisław Vincenz to sławny nasz pisarz z Pokucia. Jego dzieła są przetłumaczone na wiele języków.

Redakcja dysponuje mało znanymi wiadomościami z pobytu pisarza w czasie II Wojny Światowej na Węgrzech. W następnych numerach ZT postaramy się zapoznać z nimi naszych Czytelników.

Poniżej drukujemy ciekawy artykuł o nim z Gazety Wyborczej (18.04.2003) Joanny Tokarskiej-Bakir.

Ktoś od kilkudziesięciu lat przysyła rodzinie Vincenzów wino. Dlaczego?

Przysyłać wino do Heidelbergu to tak, jak wozić drewno do lasu. Podziemia tego miasta nie kryją grobów ani kaplic. Są to wyłącznie większe lub mniejsze piwniczki. Każdy szanujący się opóje wie, że właśnie tu, w piwnicach zamku pałatyńskiego, znajdowała się od zawsze tzw. Wielka Kadź, podobno największy na świecie pojemnik na wino reńskie. Dawano jej (cytuję za przewodnikiem) jakieś „dwadzieścia cztery stopy średnicy, trzydzieści trzy długości”.

Na froncie widniała rokokowa tarcza z monogramem elektora Karola Teodora, który gdy ją po raz pierwszy napełniono, wraz ze swym dworem zatańczył na jej wieki. Obok znajdowało się wiele kadzi mniejszych, z czasem niestety zdziesiątkowanych. Dziś pozostała tylko jedna kadź, nazywana małą, bo sięga najwyżej do pierwszego piętra.

Ktoś, kto od kilkudziesięciu lat już przed Wigilią przysyła wino do Heidelbergu rodzinie Vincenzów, musi mieć ważny powód. Skrzynkę odbiera teraz syn autora „Na wysokiej połoninie”, sędziwy już Andrzej Vincenz, emerytowany profesor slawistyki. Aby wytłumaczyć, o co mi chodzi z tym winem, muszę opowiedzieć pewną historię.

Pomiędzy Krzyworównią, gdzie Stanisław Vincenz spędzał dzieciństwo, a Bystrecem, w którym w roku 1926 zbudował sobie dom, leży huculska wieś Żabie.

W przedwojennym Żabiu było trochę sklepów żydowskich i także karczma czy raczej zajazd prowadzony przez rodzinę Gertnerów. Zajazd ten, zbudowany na planie kwadratu, miał wewnętrzne podwórze, gdzie zostawiano się wozy i konie. Prowadziła doń brama „na wciąż otwarta”, którą jednak na noc zazwyczaj zamykano. W zajeździe tym rodzina Vincenzów często nocowała. Irena Vincenz, żona Stanisława, zachwycała się czystością tego

miejsca. „U pani Gertnerowej - mówiła - można by z podłogi jeść”. Rodziny były od dawna zaprzyjaźnione - których Gertner wydzierżawił ów zajazd jeszcze od dziadka Stanisława Vincenza.

Gertnerowie mieli trzech synów: Ariego (czyli Lwa), Daniela i Mirka. Wszyscy chodzili do polskiego gimnazjum. Najstarszy, Arie, studiował we Lwowie. Gdy weszli Niemcy, jego pierwszego zabili. Losy dwóch młodszych Gertnerów były zawile i nieprawdopodobne. Mirkowi udało się uciec z bydłowego wagonu, do którego Niemcy zapakowali go wraz z babcią Gertnerową. Z jej błogosławieństwem uciekł przez dziurę, którą wystrugał szczyrykiem w podłodze.

Daniel, schwytany przez Niemców, maszerował właśnie szosą w stronę powiatowego miasta Kosowa, być może na miejsce egzekucji. Szedł z kolumną 40 Żydów eskortowanych przez dwóch esesmanów. Nagle przypomniał sobie, że za chwilę będzie las. Przekazał sąsiadom, że gdy gwizdnie, powinni uciekać, jedni na lewo, drudzy na prawo. Będą strzelać, ale wszystkich przecież nie zabiją. Gwizdnął i skoczył do lasu, sam jeden. Niemcy strzelali, na szczęście nie trafili.

Ukrywając się w lasach, bracia, którym los pozwolił się odnaleźć, napotkali miejscowych opryszków („wy jesteście Gertnerucy, więc was nie zabijemy” - usłyszeli). Przy ich pomocy przedostali się na Węgry i trafili do przebywającego tam już od roku Stanisława Vincenza. Pisarz pomyślał, że trzeba im załatwić papiery, i to nie jakieś podrabiane, ale prawdziwe, oficjalne. Polscy uchodźcy na Węgrzech byli pod opieką miejscowego ministerstwa spraw wojskowych. Kierownikiem departamentu wystawiającego Polakom dokumenty, był ojciec późniejszego premiera Węgier, Antal. Pan Stanisław wyłuszczył mu sprawę, choć widział go po raz pierwszy w życiu. Gdy skończył, Antal zwrócił się do niego per ty: „Więc jak chcesz, żeby oni się nazywali?” (Jak się dowiaduję od profesora Andrzeja Vincenza, Węgrzy mieli zwyczaj prze-

chodzić na ty, uznawszy kogoś nie za niższego, ale za równego sobie). Vincenz zaproponował, żeby oba Żabiowcy nazywali się „Żaba”.

Z nadejściem Rosjan na Węgrzech zapanował głód. Rodzinie Vincenzów przyszło wyprzedawać resztki garderoby. Gdy i ta się skończyła, pani Irena wręczyła Danielowi lub Mirkowi swoją ślubną obrączkę, prosząc, by wymienili ją na dolary. Pieniądze te pozwoliły im jakoś

przeżyć. Gdy Vincenzowie znaleźli się już w Wiedniu, obrączka została im przez Gertnerów zwrócona. Daniel i Mirek Żabowie szczęśliwie przeżyli wojnę, a nawet zarobili pieniądze na handlu z Rosjanami. Gdy wojna się skończyła, też przedostali się do Austrii. Dzięki temu od przeszło 50 lat, tuż przed świętami Bożego Narodzenia, do rodziny Vincenzów (obecnie w Heidelbergu) przychodzi z Wiednia przesyłka z białym winem z Żabiego.

Pomóżmy Im odrestaurować kościółek

Otrzymałem list od Jasia Zakowicza z Legnicy. Dzieli się w nim ze mną radosną wiadomością: kościółek w Oknianach ożył! Tu muszę przypomnieć zdarzenia z przed lat. Tłumacki kościółek parafialny w 1874 roku został zdemontowany i przewieziony do Oknian. Tam, na nowo zmontowany, służył przez wiele lat miejscowej społeczności. Po ekspatriacji stamtąd Polaków wydawało się, że zniknie na zawsze jak wiele świątyń Kresowych. Jednak kościółek ocalał. Zacząłem od przypomnienia historii tej świątyni bo niedawno pisał o niej Tadzio Bodniak w relacji z wycieczki po ziemi stanisławowskiej. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że ukazała się ona w II kwartale 2000 roku w numerze 2 (18) Zeszytów Tłumackich. Nie do wiary, jak ten czas leci...

Dzisiaj, mogę się z Wami, drodzy tłumaczanie, podzielić kolejną radosną nowiną - ta mała, ale zabytkowa drewniana świątynia, odrodziła się jak Feniks z popiołów! Znaleźli się TACY, którzy nie dali jej „szczęznąć”. Mimo ciężkich, jak wiemy, warunkach bytowych, potrafili jednak własnym sumptem doprowadzić, że kościółek ten ożył i od niedawna są w nim odprawiane msze św. w niedziele i święta. Poświęcenie świątyni miało się odbyć w dniu 21 września br. Nie odbyło się jednakże, bo biskup mający Ją wprowadzić po latach z powrotem do wspólnoty chrześcijańskiej musiał wyjechać do Rzymu. Poświęcenie odroczone na czas późniejszy.

Cieszymy się i my tłumaczanie że powoli, ale odtworza się życie katolickie w Oknianach. Pozostaje jednak jeszcze wiele do zrobienia, aby drewniany kościółek został w pełni odrestaurowany. Jego stan jest bardzo zły. Czas zrobił swoje i trzeba zatrzymać jego niszczące działanie. Niestety, do tego potrzebne są środki pieniężne. Ubodzy mieszkańcy Oknian i okolic zrobili wiele, by przywrócić swój kościółek do życia. Chwała im za to! Powinniśmy i my pamiętać o naszych tłumackich "korzeniach". Wszak to był nasz tłumacki powiat i dawny parafialny kościół. I dlatego powinniśmy też włączyć się do tego zbożnego dzieła. Zwracam się więc do WAS wszystkich z gorącym apelem - prośbą:

POMÓŻMY I WESPRZYJMY ICH SIĘGNIJMY PO PRZYSŁOWIOWY WDOWI GROSZ, PRZEKAŻMY GO NA NASZE KONTO

TMLiKPW Ogólnopolski Oddział Tłumaczan ul. Ruska 32/33 50-079 Wrocław

PKO IV / O WROCLAW 89 10205242 128394253

z dopisem : Okniany

Jerzy Czyżycki

PS. W Ich imieniu serdecznie Bóg zapłać za wsparcie.

Z świąteczną wizytą u Tłumaczanek Boże Narodzenie 2002



od lewej: Hanka Huculak, D. Tabińska-Juhasz, Joanna Wasylyszyn-Nowicka



od lewej: Hanka Huculak, D. Tabińska-Juhasz, kelnerka, kuzynka Niuśka Johnsona, Joanna Wasylyszyn-Nowicka, Maria z Ganczarówki kuzynka Koczwarów

PODZIĘKOWANIE

Koleżance Krystynie Ossowskiej-Korcie w związku z rezygnacją z pracy w kolegium redakcyjnym Zeszytów Tłumackich, składamy serdeczne podziękowania za wieloletnią pracę życzenia zdrowia i radości w codziennym życiu.

Red. Naczelna
Danuta Tabińska-Juhasz

Prezes
Zygmunt Burczyński

KOMUNIKATY

Uprzejmie informujemy PT Prenumeratorów, że w przyszłym roku, Zeszyty Tłumackie nie będą ukazywały się jako kwartalnik, lecz jako czasopismo (2 numery: czerwiec, grudzień). W związku z tym ulega zmianie wysokość prenumeraty, która wyniesie 15 zł. Przypominamy konto:

TMLiKPW Ogólnopolski Oddział Tłumaczan ul. Ruska 32/33, 50-079 Wrocław
PKO IV O/Wrocław 89 10205242 128394253

Członków Oddziału prosimy o opłacenie składki członkowskiej 18 zł za 2004 rok. Ofiarodawcom na Okniany, proponujemy przekazanie na jednym przekazie wszystkich wpłat z zaznaczeniem czego dotyczą

Zarząd

BARDOŻO WAŻNE

Kontynuując wieloletnią tradycję, przyszłoroczne wczasy w Kołobrzegu zorganizujemy jak zwykle w terminie 1 - 14 czerwca. Informujemy o tym już wcześniej w tym numerze „ZT”, bo następny ukaże się dopiero w czerwcu przyszłego roku.

Ponieważ względy organizacyjne wymagają wcześniejszego zamówienia i podania ilości miejsc w ośrodku wczasowym, prosimy zainteresowanych wczasami w Kołobrzegu o zgłoszenie uczestnictwa w nieprzekraczalnym terminie do 10 kwietnia 2004r. Prosimy o dotrzymanie go.

Bliższych informacji będzie mógł udzielić sekretarz J. Czyżycki dopiero w końcu marca. Telefon (071) 360 88 49 proszę dzwonić w godzinach rannych do 10.00 lub wieczorem po 19.00 - 23.00

Zarząd

SPOTKANIE OPŁATKOWE

Informujemy Członków i Sympatyków Oddziału, że w dniu 15 stycznia 2004 o godz. 11.00 zostanie odprawiona msza św. w kościele św. św. Stanisława i Doroty (koło Opery), a po niej o godz. 13.00 odbędzie się spotkanie opłatkowe w restauracji BANKOWA przy ul. Dąbrowskiego 42, na które serdecznie zapraszamy. Zgłoszenia prosimy składać do 10 stycznia 2004.

† Odeszli

W dniu 10.11.2003 odeszła przyżywszy 94 lata

Maria z Tabińskich-Pajęczyńska

Pozostawiła nieutulonych w żalu męża, córkę,
dwoje wnuków, dwóch prawnuków
Wszystkim Im wyrazy szczerego współczucia
składają Tłumaczanie

Z żalem zawiadamiamy, że w dniu 12 listopada
2003 zmarł przyżywszy 89 lat

Piotr Woroszczuk

Wyrazy głębokiego współczucia Żonie oraz całej
Rodzinie Zmarłego składają
Tłumaczanie

O Cioci Mani i frontowych listach



Spoczęła na cmentarzu
wojskowym w alei zasłużonych
w Kołobrzegu. W ziemi, którą
jej mąż, Stanisław Pajęczyński
jako artylerzysta ciężko wywal-
czył 59 lat temu.

Pochodziła z Żywaczowa
(wieś pomiędzy Horodenką,
a Tłumaczem) z rodzinnego
ziemiańskiego domu Jana Ta-
bińskiego, austriackiego urzęd-
nika skarbowego i Eugenii z

Drochomireckich z szlachty zagrodowej. Odebrała star-
ranne, staropolskie, tradycyjne wychowanie. Do żeńskiego
seminarium nauczycielskiego uczęszczała w Tłuma-
czu.

W 1935 roku wyszła za mąż za Waleriana Łysakowskiego - radcę starostwa w Kołomyi i weszła do zna-
nej rodziny ormiańskiej Bohusiewiczów.

W 1936 roku przyszła na świat jej jedyna córka
Janeczka. Po wkroczeniu do Kołomyi w 1939 roku so-
wietów i masowych aresztowań inteligencji, mąż W. Łysa-
kowski zaopatrzony w rodzinną biżuterię z huculskim prze-
wodnikiem wyruszył do Rumunii nigdy więcej nie dając
znaku życia o sobie.

W ciężkich okupacyjnych latach Maria okazała się
mądrą i zaradną życiowo kobietą. Nie tylko umiała utrzy-
mać siebie i dziecko, ale też rodzinę męża, potem rów-
nież swoją uciekającą z Żywaczowa. Zawsze pogodna,
uśmiechnięta, życzliwa, wszędzie lubiana, umiała poma-

Listy z frontu pisane 60 lat temu.

Ciocia Mania pozostawiła listy od męża Stanisła-
wa Pajęczyńskiego pisane do niej z frontu II wojny świa-
towej. Są one wyrazem nie tylko jego wielkiej miłości, tę-
sknoty, nostalgii, ale i dokumentem historycznym z tam-
tych lat.

Listów jest 19 noszą kolejne daty począwszy od
9.08.1944 do 22.04.1945. Nie posiadają nazw miejsco-

gać ludziom potrzebującym. Naprzód oddawała całą gar-
derobę męża polskim oficerom uciekającym do Rumunii.

Jej dom w Kołomyi był zawsze pełen ludzi. Wszy-
scy byli nakarmieni, pocieszeni. Czy to ukrywający się w
konspiracji, czy uciekinierzy masowo napływający do
Kołomyi z Kut i innych miejscowości gdzie szalały morder-
stwa banderowskie. Pomagała też ukrywającym się Żydom.

Pracowała ciężko, wydawała obiady, a o słynne ser-
niki wiedeńskie Mani upominały się wszystkie kołomyj-
skie cukiernie.

Udzielając się w kręgach konspiracyjnych poznała
swego przyszłego męża Stanisława Pajęczyńskiego z
Ottyni. On jako oficer zawodowy wstąpił w Kołomyi do
Armii Kościuszkowskiej przechodząc jako liniowy artyler-
zysta cały szlak bojowy. Po wojnie pozostając w wojsku
zabrał Manię z całą rodziną z Kołomyi osiedlając się ko-
lejno w Gnieźnie, Białogrodzie i Kołobrzegu.

Mania okazała się wspianą żoną, wierną towarzyszką
wspierającą stale niełatwe wojskowe życie męża. Była
kochającą, wyrozumiałą matką, a potem babką. Była fila-
rem rodzinnym, miała duży autorytet i chętnie korzystano
z Jej porad i pysznych słynnych tortów. Wszyscy garnęli
się do kochanej cioci Mani bo była serdeczna, gościnna i
życzliwa dla całego otoczenia.

Odwiedzała też nasze tłumackie zjazdy w Kołobrze-
gu. Przynosiła pieczone prze siebie żywaczowskie cia-
sta, pierniki, lody. Z przyjemnością słuchała naszych wspo-
mnień i śpiewów kresowych.

Danuta Tabińska-Juhasz

wości ani innych danych postępującego frontu z uwagi
na cenzurę wojskową. Wybrałam kilka wyjątków, które
być może przypomną naszym Tłumaczanom i innym Kres-
owiakom ich wojenną przeszłość.

9.08.1944

Przejeżdżałem przez miejscowości o których Ci często
opowiadałem. Zatrzymać się nie było jak, ale co najważ-
niejsze, że dużo z moich znajomych jest na miejscu. Te-
raz zbliżyliśmy się do miejscowości, z której w 1939 r. byłem

wzięty do niewoli niemieckiej. Wrzesień 1939 - a sierpień 1944, jaka to różnica między tymi datami. Wówczas szedłem z głową spuszczoną na dół, zrezygnowany, żegnany przez ludność ze łzami w oczach i bólem w sercach. Teraz Maniusiu żebyś wiedziała jak ludność nas wita kwiatami, jak małe rączka dzieci kiwają do nas, to doprawdy serce się raduje patrząc na to. Naprawdę nie żal i życie oddać jak się widzi jak bardzo jesteśmy oczekiwani. Niemiec w barbarzyński sposób obchodził się z ludnością będącą jeszcze pod jego okupacją, to też nasz pochód naprzód jest przez wszystkich bardzo oczekiwany. Każdy dzień marszu naprzód, wyrywa setki istot ludzkich z jego drapieżnych szponów. Każdy wysiłek Szwaba powstrzymaniu nas nie zdaje się na nic. Jesteśmy tuż w sercu Polski.

11.08.1944

Przypuszczam, że gazety do Kołomyi dochodzą i wiecie co się dzieje w tej nieszczęsnej Warszawie. Przeżywa teraz ona gehennę swego istnienia. Warszawa - chluba naszej ojczyzny pławi się we krwi. Mężczyźni, kobiety i dzieci - wszyscy zdolni do walki bez różnicy przekonani walczą przeciwko tej hydrze niemieckiej, która z serc naszych Ojców i Matek, Braci i Sióstr czyni sobie wał ochronny przeciw naszym pociskom. To jednak im nie pomoże. Zagłada jego nie unikniona! Przelana krew będzie pomszczona przez nas! Wy żyjąc w Kołomyi nie wiecie co znaczy terror niemiecki. Tu dopiero się to widzi.

20.08.1944

Zaczynają już nadchodzić listy z Kołomyi. Czekam kiedy to do mnie napłynie cała kupa listów od Ciebie! Kochana Maryś czekam ... Znasz mój wstręt do pisania, a jednak przewyciężyłem go i od 25.07. do 20.08.44 wysłałem 16 listów. Jestem ciekaw ile z nich otrzymasz. Niektóre były krótkie, pisane z okopów i przerywane niemieckimi pociskami. Bywały w koło ofiary co odbiera chęci do pisania i do życia!

3.10.44

Wczoraj Maniusiu pojechałem do tyłu do naszego sztabu i nie myśląc o liście zastaję pierwszą pocztową wiadomość. Zewsząd od gości kołomyjskich słyszałem, że mają już po kilka listów a ja nie. Piszesz mi Jedyna, że pisałaś do mnie i że nie wiesz dlaczego ich nie otrzymałem. Dziękuję Ci Maryś za Mszę Świętą odprawioną na moją intencję. Do ks. Matlaka napiszę jeszcze dziś do Kołomyi. Wkrótce będę miał swoją fotografię to Ci prześlę. Jestem zmieniony nie do poznania, czarna bródka dodaje mi powagi. Otrzymałoby około 700 zł, ale taka tu drożyzna np. 1kg jabłek kosztuje 160 zł.

16.10.44

O urlopie jak już pisałem nie ma mowy. Jestem liniowcem i od początku wejścia mojej Brygady do akcji jestem czynny na froncie. Raz tylko przez dwa tygodnie byłem na tyłach w Sztapie Armii, ale długo tam wypoczywać nie mogłem w związku z bezczynnością. Maryś znasz mnie i wiesz, że zawsze lubię urozmaicenia, no i tu w wojsku

tembardziej. To też nie mogłem usiedzieć w Sztapie i na swoją prośbę wróciłem na front. Tu emocji mam aż nadto - ale trudno, sam tego chciałem.

30.10.44

Szybkim krokiem zbliża się zima i tego najbardziej się boję. Dobrze, że teraz jeszcze jesteśmy w murach i pod dachem, ale co będzie gdy przyjdzie w zimie być na polu? Wojna!

Maryś nadawaj listy jako polecane, ponieważ takie prędzej dochodzą i pewniej. Ludzie to już od dawna praktykują. List polecany z Harodenki szedł 10 dni, jest to rekord czasu.

Ciekaw jestem Maryś, kto ze znajomych był już w Kołomyi na urlopie. Ja niestety nawet i marzyć o tem nie mogę. A chciałbym bardzo teraz pojechać, ponieważ coś przebakują, że termin do ewakuacji jest wyznaczony do 15 lutego, czy to prawda Maryś? Odpisz mi natychmiast czy to jest prawda i jak ona ma wyglądać? Czy już ktoś wyjechał z Kołomyi? Co z Twoimi rodzicami z Zywaczowa....

22.10.44

Dnie uciekają. Przeszło pięć miesięcy jak rozstaliśmy się w Kołomyi i jakież to szmat ziemi przez ten czas zmierzylem...

To że pociski sobie padają, często nawet na nas, na nasz dom, nikt sobie z tego nic nie robi, gdyż ludzie zdążyli się już do tego przyzwyczaić. Zresztą kamienice są tak mocne, że np. w moją kamienicę, to zn. ta w której ja urzęduje upadło ponad 20 pocisków artyleryjskich, a ja ani myśle wyjść z tej piwnicy.

Mamy patefon, towarzystwo, gramy w karty i czekamy... 7.11.44

Zginął z Kołomyi szofer Flach, bardzo porządny człowiek. Wszyscy od najwyższych oficerów bardzo za nim żałują. A było to tak, że w czasie pogrzebu jednego podoficera, on i wielu innych wojskowych i cywilów było na tymże pogrzebie, w momencie spuszczenia do grobu trumny, padł granat z którego odłamki dwóch ranilo, a jego zabiło. Porządny był człowiek, ale kule nie przebierają...

Maryś napisz mi natychmiast listem poleconym, czy już ktoś wyjechał z Kołomyi i co Ty zamierzasz za sobą robić?

Gdzie mieszkają Twoi Rodzice u Ciebie czy dalej w Zywaczowie?

4.12.44

Mieliśmy jechać na odpoczynek, a tym czasem jedziemy na drugi front. Przerwałem pisanie - zostałem odwołany do Sztabu - Maryś wróciłem - natychmiast wyjeżdżam zamiast bliżej to dalej na północ...

8.12.44

Obecnie domem moim jest bunkier wykopany w ziemi, a ludzi cywilnych widzę tylko w tedy, gdy robię wypad, jak to się mówi żargonem wojskowym, w teren. Wspominasz Maryś o swoich cierpieniach. Czyż sądzisz, że ja nie cierpię i że nie chciałbym, aby to wreszcie się skończyło?

...Możesz być pewna, że gdy tylko uda się przyjechać i Was zabrać to będę bardzo szczęśliwy mając Was razem.

Widziałem się w zeszłym tygodniu z Władkiem Skrzypkiem, zrobił on wielką karierę, ponieważ poszedł na adiutanta gen. Berlinga i samolotem poleciał do Moskwy.

29 XII 44

Smutno mi bardzo Marysiu, że los nas rozdzielił i że święta przyszło nam święcić z dala od siebie, ale mam nadzieję że przyszłe święta będziemy wszyscy razem wspólnie święcić!

No a teraz opiszę Ci Kochanie jak spędziłem tu święta. Na wigilię, pomimo kilku zaproszeń do znajomych nie poszedłem, ponieważ jest nas tylko dwóch oficerów, więc jeden z nas mógł odejść. Poszedł na wigilię kolega, bo on jeszcze tego nigdy nie widział. Ja zostałem i ze wszystkimi żołnierzami podzieliłem się opłatkiem. Około północy poszedłem do pobliskiej szkoły, gdzie też w gościach zostałem do rana. Na drugi dzień też nigdzie nie poszedłem. Przyjęcie odbyło się u mnie w bunkrze. Było 7 osób i urządziłem je tak potrafiłem. Był makownik, placek, wędliny i wódki pod dostatkiem. Zdziwisz się, skąd to wszystko wzięłem? Jak przyjadę to wszystko opowiem.

2.02.1945

Teraz Maryś to nawet mowy nie ma abym mógł marzyć o wyjeździe do Ciebie, ponieważ idziemy wciąż naprzód na Berlin i droga nasza coraz bardziej się oddala. Teraz jestem Kochana już dwa razy tak daleko od Ciebie jak byłem w zeszłym miesiącu. Od 9 stycznia jestem stale w ruchu. 14.01. rozpoczęła się ofensywa. Maryś! nie masz pojęcia jakiego łupnia dostali Niemcy na naszym odcinku. Trupy leżały stosami, a my po trupach niemieckich idziemy wciąż naprzód i naprzód.

Teraz Maryś czuję się jak nigdy, ponieważ lubię ciągły ruch i nowe wrażenia.

Najdroższa napisz co słyhać w sprawie ewakuacji? Jeśli nic nie nagli, to siedź jeszcze i czekaj aż ja przyjadę. Wojna nie zadługo się skończy! Jeśli zaś musisz już wyjechać to staraj się gdzieś do większego miasta, jak np. Kraków, Poznań, Bydgoszcz...

23.02.1945

Martwię się, że jak piszesz jesteś bez obuwia, a to tym bardziej, że tu leżą wielkie bogactwa bezpieczeństwa i nie ma jak Tobie przestać. Niemcy uciekają na łeb i na szyję zostawiają swoje domy z narabowanym bogactwem. Jest tu wszystko, obuwie, materiały i inne rzeczy leżą stosami. Ja Maniusiu biorę tylko to co mi potrzebne, na zapas myśleć nie chcę ponieważ chcę jednego - doczekać końca wojny, a wtedy Bóg łaskaw.

12.03.1945

Obecnie mam przed sobą widok morza, a na horyzoncie widać maszty okrętów. Widok piękny, szkoda, że nie lato. Nie wiem jak u Was, tu są częste opady śniegu a nawet mrozy. W okolicach tych spotykamy już więcej mieszkańców, ponieważ nie mieli czasu uciec, a jeśli nawet uciekali to nie daleko i z powrotem wracają do domów. Niemcy trzęsą się ze strachu. Patrzę na nich i przypominają mi się Żydzi, którzy chcieli przeżyć. Wszyscy tu muszą nosić białe opaski na rękawach. Wszyscy mówią Hitler kaput! i pytają co z nimi będzie? Tak kara Boża ich dosięgła!

Danuta Tabińska-Juhasz

Lista ofiarodawców za III i IV kw. 2003 r. (w zł)

1. Wanda Świeżewska-Fedorowicz USA 33,-
2. Krystyna Hryhorczuk, Oława 17,-
3. Stanisława Korybska, Gliwice 57,-
4. Krystyna Piotrowicz, Wrocław 50,-
5. Józefa Prymakowska, Nowa Sól 37,-
6. Aniela Piszkiwicz, Szwecja 9,-
7. Jan Stimm, Francja 20,-
8. Jadwiga Szczepińska, Puławy 7,-
9. Piotr Woroszczuk, Wrocław 50,-
10. Aniela Piszkiwicz, Szwecja 100 koron szw.

**Wszystkim Szanownym Ofiarodawcom
składamy serdeczne podziękowania !!!**

Errata

ZT IV kw. nr 4(28)

str. 21 u dołu zostały zamienione podpisy po widokówkami

po lewej jest podpis Betlejem - kościół Narodzenia Pańskiego, ma być Nazaret - Bazylika Zwiastowania.

po prawej jest podpis Nazaret - Bazylika Zwiastowania, ma być Betlejem. kościół Narodzenia Pańskiego.

ZT II kw. nr 2/30/2003

str. 5 I szpalta 4 wiersz od góry

jest całość, ma być całość

str. 10 II szpalta 18 wiersz od dołu

jest A. Wheatcroft. W, ma być A Wheatcroft w

str. 14 I szpalta 9 wiersz od góry

jest Viginii, ma być Virginii

str. 16 I szpalta 24 wiersz od góry

jest Ziębić, ma być Ziębic

str. 17 I szpalta 11 wiersz od góry

jest naramianniki, ma być naramienniki

str 23 Lista ofiarodawców poz 12

jest Nikusiewicz, ma być Nikosiewicz

poz 21

jest Gieba, ma być Kieba

str. 25 II szpalta 26 wiersz od góry

jest preferansę, ma być preferansa

Za niedopatrzenia w korekcie bardzo przepraszamy.

Redakcja

Spis treści

Okładka: Park w Tłumaczu

Okładka wewn. Życzenia świąteczne, Wiersze Bożonarodzeniowe - Jan Johnson, Kornelia Szankowska, Kochani Tłumaczanie Szanowni Czytelnicy - Danuta Tabińska-Juhasz

Tradycje Bożonarodzeniowe - Danuta Tabińska-Juhasz	1
Potrawy Wigilijne - Alina Filipkowska (Gazeta Lwowska)	4
I. Tłumacz w okresie I Wojny Światowej	
Powrót (cd) - Franciszek Petrus	5
Ottynijsko - Tłumaccy Marynarze - Danuta Tabińska-Juhasz	9
Historia pomnika Adama Mickiewicza w Stanisławowie	12
II. Tłumacz „Po zapomnianych ścieżkach” cz. III	
Kalendarium - Michał Budżak	13
III. Lata wojenne 1939 - 1945	
Zapomnieni i zdesperowani (cd) - Stanisław Fudali	15
60 rocznica mordów OUN - UPA na Kresach Pol. Wsch. - Tadeusz Pelikan, St. Pelikan	18
Z Tłumacza do Atlanty - Anna Bocheńska	20
Ekspatriacja - Krystyna Bojczuk-Marciniak	24
Tyśmieniccy zakładnicy - Stanisław Pelikan	25
IV. Z życia Tłumaczan	
Św. Anna w Siedlakowicach i Tłumaczu - Danuta Tabińska-Juhasz	26
Historia naszego obrazu i świątyni w Siedlakowicach - Jerzy Czyżycki	27
Wypad w wspomnienia młodości - Jerzy Czyżycki	28
W hołdzie Sybirakom - ks. Stanisław Turkowski	30
Cmentarz Tłumacki - Adam Biliński	32
O Tłumackich księgach parafialnych - Adam Biliński	34
V. Listy	
Białe wino z Żabiego - Joanna Tokarska-Bakir	38
Pomóżmy im odrestaurować kościółek - Jerzy Czyżycki	39
Z świąteczną wizytą u Tłumaczanek (Boże Narodzenie 2002)	39
Komunikaty	40
VI. Odeszli	
O cici Mani i frontowych listach	41
Lista ofiarodawców III i IV kw.	43
Errata	43
Okładka wewn. Park w Tłumaczu	
Okładka zewn. Ksawerówka do tekstu 18 - 19	

**Nasz Kwartalnik jest finansowany przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa.
Za dotację serdecznie dziękujemy.**

Redaguje zespół w składzie:	Danuta Tabińska-Juhasz - redaktor naczelny, zastępca Elżbieta Niewolska, Anna Panachida-Bocheńska, Helena Bilińska
Adres redakcji:	TMLiKPW Ogólnopolski Oddział Tłumaczan. 50-076 Wrocław, ul. Ruska 32/33, Ip. tel. 071/ 344-88-93. Konto Bankowe PKO-BP IV O/Wrocław 10205242-128394253
Skład i druk:	Drukarnia RAPID - Wrocław, tel. (071) 348-37-86, www.iwanicki.pl

Materiałów nie zamawianych Redakcja nie zwraca. Zwaracamy natomiast przesyłane nam zdjęcia lub widokówki.
W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów oraz poprawek stylistyczno - językowych.

Uwaga ! Cena rocznej prenumeraty na rok 2004 ZT wynosi 15 zł.

Park w Tłumaczu

Był usytuowany w samym centrum miasta. Dostarczał wiele radości młodzieży. W zimie były w nim piękne plenery, które zachęcały do robienia zdjęć.

Na przeciw parku znajdował się zakład fotograficzny Edzia Kapanowskiego. Jemu zawdzięczamy dokumentację zimowych widoków Tłumackiego parku oraz Tłumackiej młodzieży.



*od lewej: Hanka Kańska, Danka Tabińska,
Nusia Tomen*



*od lewej: Irka Bilińska, Danka Tabińska,
Danka Piotrowicz*



Danka Tabińska



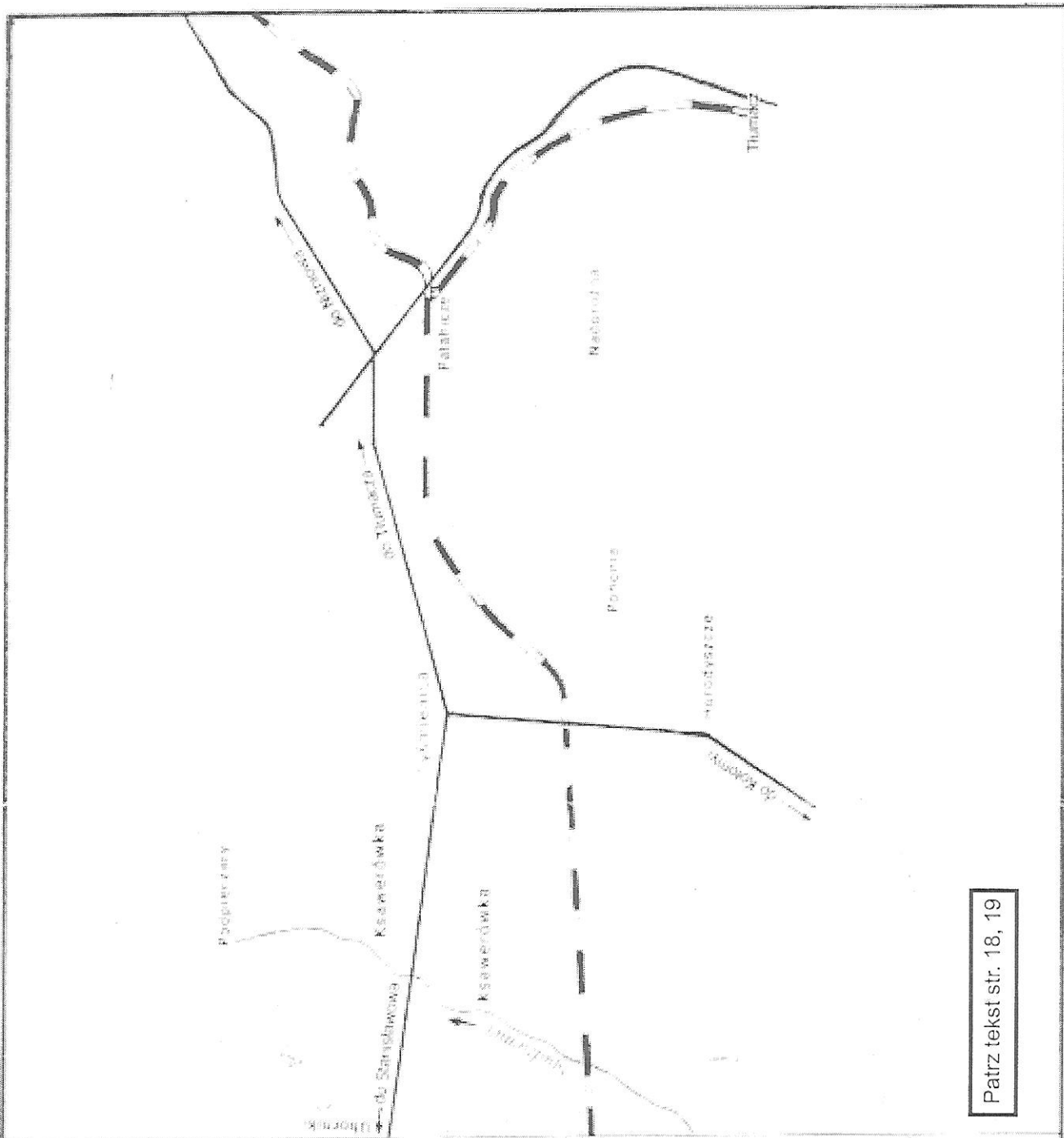
*od lewej: Danka Tabińska,
Zosia Kapanowska*

*Ofiary mordu
dokonanego przez banderowców
w Ksawerówce k. Tysmienicy
w dniu 27.03.1944 r.*

Piotrowicz Maria
Piotrowicz Wanda
Piotrowicz Kazimiera
Piotrowicz Urszula
Piotrowicz Ryszard
Kowicka
Bogusz Bronislawa
Bogusz Edward
Giodas Franciszek
Bialek Karol
Kotopka Jan
Lisowski z Thumka
(Najciężki?, Nastalcka?)
Mannheim Moniek
Mannheim Burzio

Zobacz niemiecki (3)

opr. Tadeusz Welcan



Patrz tekst str. 18, 19